6 STRON — W numerze: St. Kuszelewska – „Artyści mówią prawdę" — CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5c)

Wychodzi co tydzień — Dnia 12 lipca 1947 r — Rok IX. Nr. 27

WŁASNA DROGA

„Będę zachęcał Polaków jak tylko będę mógł, ażeby powrócili do swego kraju" — p. Bevin na kongresie w Margate.

Prof. Savory zapytuje w Izbie Gmin czy otrzymano w Warszawie gwarancję, że żadne niebezpieczeństwo nie będzie zagrażało Polakom, którzy skorzystają z zachęty p. Bevina doradzającej powrót do swego kraju. Odpowiedź p. Mayhew: „Nie. Polacy muszą sami powziąć decyzję".

„Zmiana (polityki wobec rządu polskiego) wyrazi się w zmniejszeniu brytyjskiego krytycyzmu co do metod politycznych tego rządu w nadziei poprawy stosunków handlowych między Polską, a Wielką Brytanią" — News Chronicle z 12 maja b.r.

„Podobnie jak względy utylitarne . . . odgrywają znaczną rolę w polityce każdego świeckiego rządu . . . tak samo troska Watykanu o interesy katolicyzmu może w końcu skłonić Stolicę Apostolską do układu". — „Catholic Herald" na tle wizyty kardynała Griffina w Polsce.

Przytoczyliśmy powyższe cytaty, ażeby uwypuklić, jak fałszywe drogowskazy napotyka co krok Polak pozbawiony wolnej Ojczyzny. Odsuwamy nawet na bok propagandę reżimową, która świadomie w fałszywym świetle przedstawia te czy inne strony życia polskiego w Kraju czy na obczyźnie. Świat zewnętrzny jednak również nie probuje się zdobyć na bezstronną ocenę naszego położenia. Sprawa polska i los Polaków jest zazwyczaj tylko kartą w grze o zupełnie inne cele. Zależenie od potrzeby można nad nami rozdzierać szaty lub rzucać przed nasze oczy fałszywe miraże.

Dobrze jest więc przynajmniej od czasu do czasu spojrzeć za kulisy dotyczących nas posunięć politycznych. Ułatwiają to cyniczne, lecz szczere oceny jak przytoczone wyżej ustępy w „News Chronicle" i „Catholic Herald". Widać z nich, że interesy nasze i strona moralna zagadnienia są podporządkowywane celom wyższego rządu, według oceny tych czy innych organizmów politycznych.

Mieliśmy czas zrozumieć to i przyzwyczaić się do tej metody. Zwłaszcza ci z pośród nas, którzy spędzili dłuższy czas na Zachodzie. Przestaliśmy się oburzać czy dziwić. Staliśmy się jednocześnie bardzo odporni na przyjacielskie sugestie, nauki moralne, zalecenia czy nawet groźby.

Polska emigracja polityczna iść będzie własną drogą, którą jej nakazuje tak a nie inaczej rozumiany interes Polski. Nie wpłyną na nasze decyzje zalecenia p. Bevina — ani ilość jajek czy bekonu, nadchodzących z Polski do Anglii. Może się zdarzyć, że Watykan zawrze konkordat z p. Cyrankiewiczem. Nie uznamy z tego powodu Radkiewicza czy Gomułki za dobrych Polaków i nie zwiększy się nasze zaufanie do reprezentowanego przez nich reżymu.

Własna droga jest trudna dla całości emigracji. Nie jest łatwiejsza dla każdego Polaka oddzielnie na obczyźnie. Emigracja trwa juz blisko dwa lata, a wciąż jeszcze nie wiadomo, gdzie i na jakich warunkach większość z nas się osiedli. Indywidualnie wielu jeszcze przetrawia wciąż problemat: wrócić czy zostać poza Krajem, tęsknota walczy z obawą. Możność pracy dla dobra ogółu, spełnienie obowiązku narodowego widzi się tu i tam.

Nie jeden przed powzięciem ostatecznej decyzji wybrał się „prywatnie" do Kraju. Niektórzy za ciekawość tę płacą latami więzienia, choć im nic poza tą dociekliwością nie udowodniono, choć sąd „łagodząc" wyroki do kilkuletniego więzienia stwierdził, że walczyli oni dobrze za Ojczyznę z Niemcami.

Za szukanie własnej drogi prawdy trzeba więc nieraz zapłacić cierpieniem. Reżym tymczasowy dopuszcza jednak brak zaufania do siebie, wtedy gdy inne względy przeważają. Szereg osób uznał obecny układ stosunków w Polsce, jednak za cenę pracy za granicą. Byli potrzebni, wybaczono więc im niechęć do ryzykowania stałego pobytu w Kraju. Usługi wynagrodzono hojnie posadami na placówkach zagranicznych, w instytucjach międzynarodowych itd. Pieniądze nie śmierdzą mówi łacińskie przysłowie, które się w pełni stosuje do tych osób, chodzących bardzo specjalnymi ścieżkami. Nie jest to nasza droga.

Zasadniczy kierunek dla zbiorowej działalności emigracji polskiej jest już wytknięty. Wynika on z faktu, że Polska utraciła niepodległość, a my nie zgadzając się z tym stanem rzeczy, postanawiamy działać jako wolni ludzie poza granicami zasięgu władzy okupanta i dążyć do przyśpieszenia chwili odzyskania przez Ojczyznę wolności. W różnych okresach może być stosowana rozmaita taktyka. Obiór środków, kolejność posunięć należą do politycznego kierownictwa emigracji.

Indywidualnie wielu z nas trapi często myśl w jaki sposób można najlepiej spełnić obowiązek względem narodu, pozostając za granicą. Zakrada się często wątpliwość czy praca codzienna, walka o byt w środowisku obcym nie doprowadzą wkońcu do zamknięcia się w swej własnej skorupie, do zagubienia celu.

Ustalenie roli jednostki w całokształcie życia polskiej emigracji politycznej jest zadaniem dużej wagi. Może nawet istotniejszym niż te czy inne posunięcia zbiorowe. Jeżeli cele i obowiązki indywidualne oraz sposoby ich urzeczywistnienia nie zostaną dostatecznie wyraźnie postawione, to można zaryzykować twierdzenie, że w niedługim czasie całość emigracji zejdzie na manowce.

W chwili przełomowej dla losów osobistych, gdy każdy z nas ustala gdzie się osiedli i jak sobie zapewni egzystencję, zaobserwować możemy jak gdyby odsunięcie celów szerszych na dalszy plan. Jest to zrozumiałe, ludzkie, a jednocześnie nie zbyt groźne. Mamy już szereg dowodów, że ludzie po szczęśliwym wylądowaniu materialnym garną się gorąco do polskiego życia społecznego.

Utrzymanie więzi organizacyjnej stawiamy jako pierwszy obowiązek indywidualny. Każdy z nas przez organizacje społeczne, zawodowe, czy inne powinien być powiązany z polskim życiem na obczyźnie.

W budżecie każdego z nas powinna się znaleźć kwota na polskie pismo i książkę, na wydawnictwa o Polsce w językach obcych. Da to materialne podstawy dla rozwoju polskiej myśli politycznej i kulturalnej. Umożliwi przypominanie sprawy polskiej, stałe jej uaktualnianie. Tutaj działalność szersza i jednostkowa zbiegają się ze sobą jak najwyraźniej.

Starajmy się w pracy zawodowej osiągnąć jak najwyższy poziom, żeby móc przyczynić się do rozwoju gospodarczego Polski po powrocie. Nawiązując wszędzie dobre stosunki z gospodarzami, drogą przyjacielskich kontaktów zwiększajmy grono ludzi interesujących się losem Polski. Przyda się to zarówno teraz, jak i wówczas, gdy Polska wróci do rodziny wolnych narodów.

Rzuciliśmy kilka myśli w sposób jak najbardziej prosty. Może artykuł ten posłuży do podjęcia dyskusji w tych niezmiernie ważnych sprawach. Umożliwi ona z kolei skrystalizowanie programu działalności Polaka poza Krajem.

WITOLD ALMARSKI

BÓJ O ŻELAZNĄ ZASŁONĘ

Oświadczenie Sekretarza Stanu amerykańskiego, jen. Marshalla, w Harvard, 5 czerwca 1947, obwieszczające gotowość udzielenia Europie pomocy pieniężnej Stanów Zjednoczonych Ameryki na uzdrowienie jej gospodarcze, jest jakby dalszym ciągiem czegoś, co już dość dawno świat usłyszał i czego bodaj, mimo zgiełku lat ostatnich, nie zapomniał.

Gdy Europa legła pod naporem niemieckim i gdy tak bardzo istotną rzeczą było dodanie jej ducha, celem wzmożenia oporu, Karta Atlantycka z 14 sierpnia 1941, podpisana przez Prezydenta Roosevelta i Winstona Churchilla, jako pobudka już nie tylko brytyjska ale przede wszystkim amerykańska, zawarła dwie naczelne zapowiedzi obietnice:

1. w zakresie politycznym postanowienie nietykalności obszaru Narodów Zjednoczonych i nienarzucania im rządów (art. 2 i 3)
2. w zakresie gospodarczym pomoc na rzecz dobrobytu wszystkich państw (**art. 4 i 5**).

A Karta Atlantycka była właściwie nieco obszerniejszym i dokładniejszym ujęciem słynnego hasła czterech wolności — wolności przekonań i słowa, wolności wiary i wyznania, wolności od niedostatku, wolności od groźby — w orędziu Prezydenta Roosevelta do Kongresu z 6 stycznia 1941.

Krótko mówiąc, postawa Stanów Zjednoczonych Ameryki wobec Europy stanowi, w obecnym okresie dziejowym, mocno zarysowaną całość, której częścią jest sprawa pomocy gospodarczo - pieniężnej wysunięta przez Sekretarza Stanu Marshalla w porozumieniu z Prezydentem Trumanem, który to stwierdził bardzo dobitnie 26 czerwca 1947.

Losy politycznej części tych zapowiedzi, przyrzeczeń i zgoła zobowiązań amerykańskich, lub już i amerykańsko-brytyjskich, głoszonych w Karcie Atlantyckiej, były dotychczas, mówiąc najoględniej . . . osobliwe.

Wcieleniem zasad nietykalności obszaru i nienarzucania rządów z Karty Atlantyckiej z 14 sierpnia 1941, potwierdzonej wspólnym obwieszczeniem wszystkich Narodów Zjednoczonych podpisanym w Waszyngtonie 1 stycznia 1942, miało stać się, w trzy lata później, tzw. Oświadczenie o Europie Wyzwolonej (*Declaration on Liberated Europe*), podpisane przez trójkę Roosevelt-Churchill-Stalin w Jałcie i Krymie 12 lutego 1945.

Powołując się na postanowienia Karty Atlantyckiej, niestety z bezwstydną obłudą, Oświadczenie o Europie Wyzwolonej stało się, dla Europy Środkowo-Wschodniej w zasięgu wojskowego władania rosyjskiego, Oświadczeniem o Europie Ujarzmionej. Nawet Narodom Zjednoczonym narzucano bezprawie i niewolę: Polsce zabór połowy obszaru przez Rosję, a zarówno Polsce jak Jugosławii zerwanie ciągłości prawa państwowego i rządy osadzone przez Moskwę, co w dużej mierze, choć w nieco inny sposób, spadło i na Czechosłowację. A państwa, które były przykute do Niemiec w czasie wojny: Rumunię, Bułgarię, Węgry, Finlandię, również objęte przyrzeczeniami wyzwolenia w oświadczeniu jałtańskim, wydano w rzeczywistości na łup Rosji bez zabezpieczenia wpływu Mocarstw Zachodnich.

Postanowienia w Jałcie, które miały stać się dla Europy urzeczywistnieniem zobowiązań Karty Atlantyckiej, stały się dla Europy Środkowo - Wschodniej, ogarniętej pochodem rosyjskim, ich pogrzebaniem.

Pisana na wodzie, ale przez Roosevelta i Churchilla, więc wydawało się, że trwale i niezatarcie, Karta Atlantycka, acz utrwalona podpisami wszystkich Narodów Zjednoczonych w Waszyngtonie, nie wytrzymała przesunięcia się po niej w Jałcie szorstkiej dłoni rosyjskiej, który wszystko zamazała, niejedno skrzywiła, sporo bez śladu starła.

* * *

Obecnie przyszła kolej na gospodarczą część haseł Karty Atlantyckiej, która w art. 4-tym zapowiedziała udostępnienia na równych prawach handlu i surowców potrzebnych krajom do dobrobytu, a w art. 5-tym:

„...najpełniejszą współpracę wszystkich narodów w dziedzinie gospodarczej celem zapewnienia wszystkim lepszych warunków pracy, postępu gospodarczego bezpieczeństwa społecznego".

Stany Zjednoczone Ameryki, po pewnych już świadczeniach na rzecz krajów Europy w pomocy bezpośredniej lub za pośrednictwem UNRRA,, w której wydatnie uczestniczyło również Imperium Brytyjskie, obwieściły teraz, w oświadczeniu Sekretarza Stanu jen. Marshalla w Harvard, gotowość pieniężnego poparcia odnowy życia gospodarczego Europy. Wyraźnie: poparcia a nie pokierowania. Stany Zjednoczone Ameryki stwierdzają, że jest właśnie rzeczą samych państw Europy ustalenie tego zarysu działań i współdziałań, który one mogłyby wprowadzić na drogę urzeczywistnienia, zasilając go pomocą pieniężną słusznie uważaną w tej dziedzinie za tzw. *nervus rerum*, czyli sprężynę wszechrzeczy.

Wielka Brytania, Francja i w ogóle kraje Europy Zachodniej, mówiące to co myślą i czego chcą, zawołały odrazu:

— Dobra nasza!

Bo w ogóle dobrze jest, jeśli przyrzeczenia i zobowiązania mają być dotrzymane. Dobrze jest również, jeśli nie zjawia się to w obłocznych zarysach daru z nieba, lecz trzeźwo rozważonego przedsięwzięcia, gdyż niewątpliwie dla Ameryki jest to korzystne, by Europa nie zeszła na dziady. Dobrze jest wreszcie, że od pierwszej chwili sprawa postawiona jest na gruncie współdziałania, a nie narzucania.

Więc Londyn i Paryż, już nazajutrz po mowie p. Marshalla w Harvard, uznały to wystąpienie za początek najdonioślejszych możliwości okresu powojennego. Po wstępnych wymianach poglądów p. Bevin udał się do Paryża na dwudniowe narady 17 i 18 czerwca 1947. Pierwszym ich wynikiem było zwrócenie się dwu ministrów spraw zagranicznych, pp. Bevina i Bidault, do p. Mołotowa o wzięcie udziału w naradach dotyczących zamierzenia Stanów Zjednoczonych **Ameryki**.

A Moskwa?

Odgłosy moskiewskie w ciągu dwu tygodni po mowie p. Marshalla były niechętne:

— Ameryka chce opanować gospodarczo Europę, ale nie damy się kupić za dolary!

Lecz, po zaproszeniu przez pp. Bevina i Bidault z 18 czerwca 1947, p. Mołotow zgłosił 23 czerwca 1947 gotowość udziału i 27 czerwca 1497 zaczęły się w Paryżu rozmowy Bevin - Bidault - Mołotow w sprawie wniosku Marshalla.

* * *

Moskwa podpisała Kartę Atlantycką 1 stycznia 1942, gdy musiała w pół roku po uderzeniu Niemiec i ich szybkim posunięciu się w głąb Rosji, ale tylko czekała na chwilę, gdy będzie mogła ją drzeć w strzępy.

W Jałcie w lutym 1945, uczyniła wszystko, by postanowienia polityczne Karty Atlantyckiej — o nietykalności obszaru Narodów Zjednoczonych i o nienarzucaniu rządów — zamienić na urągowisko wszędzie tam, gdzie zawładnęła wojskowo t. j. w dziesięciu krajach Europy Środkowo-Wschodniej.

Moskwa bowiem, jak dziś już widzi jasno cały świat, powiedziała sobie, że jak daleko w głąb Europy zaszła stopa żołnierza rosyjskiego w tej wojnie — (która dla Rosji, bez pomocy i olbrzymiego wysiłku Zachodu, przybrałaby inny zgoła obrót i kończyć się mogła dla Rosji zgoła gdzieindziej) — tak daleko też sięgać będzie na stałe jej władza przez rzeczywiste opanowanie zajętych krajów przy takich czy siakich pozorach ich odrębności i niezawisłości.

Wszystko co Rosja robi w tym obszarze Europy Środkowo-Wschodniej od początku, codziennie, zawsze i wszędzie, jest przykuwaniem ich do Związku Sowieckiego nie tylko politycznie, ale i gospodarczo. Jednocześnie odcięła opanowane kraje tego obszaru od świata tzw. żelazną zasłoną. Nikt nie ma tam dostępu rzeczywistego z zewnątrz, a nikt z tego obszaru nie pokazuje się na zewnątrz inaczej niż na sznurku Moskwy. To jest, najzwięźlej i najdokładniej, istotą polityki Rosji w ujarzmionej Europie Środkowo-Wschodniej.

A tu teraz wniosek Stanów Zjednoczonych Ameryki powiada:

— Pomożemy pieniężnie odbudowaniu gospodarstwa Europy. Niechaj wszystkie jej kraje, zachodnie, środkowe, wschodnie, określą razem podstawy i potrzeby swego odrodzenia gospodarczego i współdziałania w tym celu. A Ameryka temu zgodnie ustalonemu wysiłkowi poda rękę nie pustą.

Ale to przebiłoby żelazną zasłonę gospodarczo a wtedy nieuchronnie i politycznie, czego Rosja za żadną cenę, nawet w dolarach, nie chce.

Rosja, nawet gospodarczo, ma w zagarniętych krajach Europy Wschodniej cele zgoła inne, niż ich uzdrowienie i podniesienie gospodarcze we współżyciu z resztą lądu europejskiego i z gospodarką światową. Jej twardo przeprowadzoną myślą jest wyciśnięcie z nich wszystkiego co można grabieżą pod nazwą łupu wojennego, grabieżą pod nazwą szybko zawartych tj. narzuconych umów gospodarczych, jak np. węglowa w Polsce i wszędzie różne podobne, grabieżą pod nazwą stałego współżycia gospodarczego na zawsze tylko z ZSRR. Owszem, jeżeliby Stany Zjednoczone dały tym krajom dolary, ale na gospodarkę z tymi celami naczelnymi, Rosja chętnie wyciśnie z nich i te dolary. Ale czego żadną miarą nie dopuści, to rozluźnienia więzów przykuwających kraje Europy Środkowo - Wschodniej do ZSRR przez wciągnięcie ich w związki gospodarki ogólno-europejskiej i światowej.

I dlatego p. Mołotow przybył 27. 6.47 do Paryża, by raz jeszcze, kpiąc z prawdy i oczywistości w wykrętnych rozumowaniach w . . . obronie krajów europejskich i zwłaszcza środkowo-wschodnio-europejskich przed . . . zamachami Zachodu, powiedzieć: nie!

* * *

Rosja może jeszcze dużo, ale już nie wszystko, a także nie tyle, ile mogła do niedawna w okresie pod koniec i po końcu wojny. Może jeszcze, w Paryżu czy gdzie indziej, nie dopuścić nadal nikogo i niczyjego wpływu rzeczywistego, jak nie dopuściła dotychczas, poza żelazną zasłonę. Ale nie może już ponownie, jak w Jałcie przed dwoma i pół laty, uzyskać ze strony Mocarstw Zachodnich uznania i poparcia swej wyłączności poza żelazną zasłoną. Ta możliwość, po oświadczeniu Prezydenta Trumana z 12 czerwca 1947 przeciw narzucaniu narodom przez Rosję swego władania skończyła się i nie wróci.

Jeżeli Rosja nie pozwoli państwom Europy Środkowo-Wschodniej, której rządy ma w ręku, uczestniczyć we wskrzeszeniu gospodarki europejskiej, żelazna zasłona od Szczecina po Triest sterczeć będzie jeszcze bardziej wyzywająco.

Tak wyzywająco, że Zachód uzna, że ani trąbami, jak murów Jerycha, ani nawet dolarami jej nie zburzy, a dla ocalenia Europy zburzyć trzeba.

STANISŁAW STROŃSKI

Przegląd tygodniowy

Zaczyna się walka o chorą Europę

OD MARSZU NA RZYM — DO MARSZU NA PARYŻ

Wykryty we Francji spisek o charakterze faszystowskim czy pół-faszystowskim przypomina światu, że Europa jest nadal ciężko chora i że faszyzm bynajmniej nie przestał istnieć. Przeciwnie, liczyć się trzeba z tym, że w miarę jak komunizm przybiera na sile, również faszyzm, jako najbardziej radykalna nań reakcja, będzie się wzmagał. Oddawna już odzywały się głosy ostrzegające, że jeżeli elementy demokratyczne i socjalistyczne nie podejmą zdecydowanej walki z komunizmem, to następstwem będzie jedynie wzmacnianie się żywiołów faszystowskich. Komunizm i faszyzm to bracia sjamscy. Jeden nie może żyć bez drugiego. Jeden wywołuje drugi.

Marsz czarnych koszul Mussoliniego na Rzym w roku 1922 był reakcją na chaos stworzony przez komunistów. Francja w roku 1947 przypomina Włochy z przed lat 25 kiedy to strajki paraliżowały całe życie kraju i rząd nie panował nad sytuacją. Ledwie kończy się jeden strajk już zaczyna się drugi. Komuniści, którzy najwyraźniej mają z Moskwy rozkaz wejścia możliwie jak najszybciej z powrotem do rządu, czynią wszystko, aby wykazać słuszność twierdzenia, że ,,nie można rządzić Francją bez komunistów''. Piękny eksperyment Bluma obniżki cen skończył się i rozpoczął się wyścig cen i płac, prowadzący prostą drogą do inflacji. Jest też rzeczą powszechnie wiadomą, że komuniści szykują się od dawna do zamachu stanu, gromadząc broń i organizując prywatną armię. Spisek elementów skrajnie prawicowych jest naturalnym produktem tej niezdrowej atmosfery.

Nie należy go jednak przeceniać. Nie jest wykluczone, że został nieco wyolbrzymiony jako wygodna dywersja dla odwrócenia uwagi od trudności gospodarczych, w każdym zaś razie nie wydaje się, by zamierzony marsz na Paryż był imprezą naprawdę poważną. Niebezpieczeństwo grożące Czwartej Republice ze strony komunistów jest z pewnością bez porównania groźniejsze.

JEDNA WIELKA HISZPANIA

Francja nie jest jedynym krajem w którym komuniści i antykomuniści szykują się do generalnej rozprawy. Włochy również mają swoje faszystowskie i komunistyczne podziemie. Niedawno aresztowano ponad 40 przywódców podziemnego ruchu faszystowskiego, ale wciąż na wolności ma być jego główny szef, b. sekretarz generalny partii, Carlo Scorza. Twierdzi się, że ruch faszystowski liczy 300.000 członków, pośród których wielu ma mieć broń pozostawioną przez Niemców. Zresztą o broń w Europie nie jest trudno.

Oczywiście komuniści posiadają znacznie potężniejszą organizację, zarówno jawną, jak i tajną. Wciąż jeszcze istnieje wojenna organizacja partyzancka *Associazione Nazionale Partigiani d'Italia*, która wszędzie posiada swe składy broni. Na jej czele stoi Luigi Longo, który w czasie wojny domowej w Hiszpanii był komisarzem generalnym brygad międzynarodowych. Posiada więc doświadczenie w zakresie wojny domowej . . .

Między Europą sprzed lat dziesięciu, a Europą dzisiejszą zachodzi po prostu ta różnica, że wówczas była jedna Hiszpania, a dziś takich potencjalnych ,,Hiszpanii'' jest kilka. Oczywiście na pierwszym miejscu znajduje się nadal Grecja, gdzie wojna, nazywana niesłusznie domową, toczy się już od dawna. Mówimy: niesłusznie nazywana domową, bo obecnie komisja bałkańska ONZ formalnie już stwierdziła, że partyzanci otrzymują pomoc od sąsiednich państw komunistycznych: Jugosławii, Bułgarii i Albanii, a przedstawiciel Stanów Zjedn. nazwał rzeczy po imieniu, stwierdzając, że sądziedzi Grecji dokonywują po prostu aktów agresji.

Jednym słowem cała Europa zachodnia i południowa — ta, która jest jeszcze wolna od dyktatury komunistycznej, stanowi jedną wielką Hiszpanię. Za wyjątkiem Grecji nie toczą się jeszcze nigdzie formalne walki, ale walka o wpływy i przygotowania do walki zbrojnej trwają w całej pełni. Europa jest ciężko chora.

CZY TO LEKARSTWO POMOŻE?

Na tym tle dopiero można rozpatrywać najważniejsze wydarzenie ostatnich czasów, a mianowicie konferencję w Paryżu Bevina, Bidault i Mołotowa, zakończoną całkowitym zerwaniem i pogłębieniem przepaści, dzielącej Rosję od jej byłych sojuszników.

Plan Marshalla jest próbą leczenia choroby europejskiej przez zastrzyki dolarów. Mają one pomóc na gangrenę komunistyczną, niczym cudotwórcza penicylina — mają wzmocnić przynajmniej tę część organizmu europejskiego, która jest atakowana przez mikroby komunizmu, ale jeszcze przez nie nieopanowana.

Niewątpliwie chcianoby, jeśli to możliwe, leczyć tą metodą całą Europę, łącznie z jej częścią wschodnią. To jednak wymagało by najpierw chirurgicznej operacji w postaci wycięcia sowieckiej narośli na tej części kontynentu europejskiego. A na tę operację lekarze Zachodu, pp. Marshall i Bevin, bynajmniej się nie decydują . . .

W rezultacie podjęto próbę przekonania choroby, by się dała wykurować. Taki w gruncie rzeczy był sens konferencji paryskiej. Oczywiście szanse rzeczywistej współpracy ze strony Rosji były od początku równe zeru. Istniała co najwyżej możliwość, że wykorzysta ona zaproszenie, aby całą imprezę rozsadzać od środka.

Widocznie jednak ,,pryncypialność'', która cechuje politykę sowiecką sprawiła, że nie podjęła ona takiej próby. Być może Kreml bał się, że gdy raz pozwoli się wciągnąć w dyskusje na temat współpracy gospodarczej i gdy jego satelici przekonają się, jak wiele mogliby na niej skorzystać, odwrót będzie trudny. A być może po prostu liczy, że choroba komunistyczna tak głęboko wżarła się również w kraje zachodnie, że już dolarowa penicylina nie pomoże: że akcja partii komunistycznych nie dopuści do konsolidacji gospodarczego bloku zachodniego, za którym poszedłby blok polityczny.

FRANCJA DOKONAŁA WYBORU

Jak dotąd zresztą spotkało Moskwę pod tym względem rozczarowanie. Jeśli Mołotow spodziewał się, że biciem pięścią w stół i wszelakimi groźbami powstrzyma Francję od zaangażowania się po stronie Zachodu i jeśli to było jego celem, gdy przyjechał do Paryża — co wydaje się wcale prawdopodobne — to zawiódł się srodze. Francja dokonała ostatecznego wyboru, przed którym tak długo się wzdragała: zrywając z uprawianą do tej pory grą pośredniczenia pomiędzy Wschodem a Zachodem opowiedziała się ostatecznie po stronie Zachodu. Przyszłość niedaleka pokaże jak na to odpowiedzą komuniści; mogą oni uznać, że dla obalenia decyzji rządu Ramadier nie wolno im cofnąć się nawet przed akcją rewolucyjną. W każdym razie śmiała decyzja Francji jest wydarzeniem pierwszorzędnej wagi.

Jeśli chodzi o W. Brytanię, to podjęta przez nią rola przywódcza oznacza przypieczętowanie zmiany, którą już przed dwoma czy trzema tygodniami notowaliśmy na tym miejscu: W. Brytania wyrzeka się prób pośredniczenia pomiędzy Stanami Zjednoczonymi, a Sowietami i zdecydowanie wiąże się z Ameryką. Grupa ,,rebeliantów'' w *Labour Party* zmuszona jest do milczenia. Sytuacja gospodarcza, która znalazła wyraz w zapowiedzianych przez min. Daltona nowych ograniczeniach przywozu, oznaczających dla narodu brytyjskiego jeszcze bardziej surowe życie zmusza W. Brytanię do zdecydowanego wyboru. Jest on teraz faktem dokonanym.

Wszystkie w ogóle narody Europy stają wobec konieczności wyboru. Niestety za te narody, które znajdują się po wschodniej stronie żelaznej kurtyny wyboru dokona Moskwa. Tragedia Polski i innych narodów, zaprzedanych w niewolę sowiecką, którym Moskwa nie pozwoli dziś na udział w planie gospodarczej odbudowy jest większa, niż kiedykolwiek. Prędzej czy później narody Zachodu będą zresztą musiały stwierdzić, że trwałe uzdrowienie zachodniej Europy nie jest możliwe, gdy gangrena komunistyczna niszczy narody Europy wschodniej.

AMERYKA NIE MOŻE ZAWIEŚĆ

Podczas gdy Europa zachodnia z odwagą i zapałem podchwyciła inicjatywę Marshalla, pozostaje jeszcze pytanie, czy Kongres amerykański stanie na wysokości zadania. Uchwalenie przezeń kredytów na pomoc dla Europy nie jest bynajmniej rzeczą pewną. Gdyby zaś po tym wszystkim co się stało i po opracowaniu przez Europę na konferencji w Paryżu, zbierającej się 12 lipca planu odbudowy, Kongres odmówił pomocy, to byłby to największy triumf Rosji.

Nie wydaje się, by to groziło. Kongres z pewnością nie uchwaliłby ani centa gdyby Rosja i komunizm miały z pomocy korzystać. Ale z chwilą, gdy Europa zachodnia zacznie się organizować przeciw Rosji, to Ameryka nie może się już cofnąć i zdezawuować Marshalla. Wydaje się, że to co się teraz stało, jest najlepszą gwarancją przeciw odrodzeniu się izolacjonizmu w Ameryce.

Wchodzimy w nowy okres historii. Okres ,,współpracy'' wielkich mocarstw, okres Teheranu, Jałty, San Francisco i Poczdamu należy do przeszłości. Dwa potężne bloki stają naprzeciw siebie i szykują się do gospodarczej i politycznej batalii. Na nadchodzącej konferencji w Paryżu pokaże się jak przebiega w Europie granica pomiędzy nimi. W Azji granica ta nakreślona jest natomiast już dziś z bronią w ręku.

Londyn, 5 lipca 1947

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

W związku ze sprawą Zborowskiego Polacy w W. Brytanii byli przedmiotem licznych, a całkiem nieuzasadnionych ataków w prasie brytyjskiej, z których niektóre omawialiśmy na tym miejscu. Trzeba się spodziewać, że po wyjaśnieniach ministra wojny, który wykazał w Izbie bezpodstawność zarzutów, dotyczących czarnego rynku wśród Polaków, ataki na tym tle ustaną. Jednak są jeszcze inne żale, wysuwane nie przez naszych przeciwników, lecz przez koła nam życzliwe. Toteż nie można nad nimi przejść do porządku dziennego.

Tygodnik *''Truth''*, który na ogół ustosunkowuje się do Polaków przyjaźnie, w obszernych uwagach na marginesie sprawy Zborowskiego pisze m.in.:

,,Byłoby rzeczą rażącą potępiać wszystkich żołnierzy polskich za złe zachowanie się niektórych z pośród nich. Jest jednak oczywiste, że wielu Polaków stacjonowanych w naszym kraju wykazuje — mówiąc łagodnie — brak zdyscyplinowania.

,,W. Brytania nie ma powodu do dumy ze swych dokonań w związku z Polską, w której obronie weszła do wojny z Niemcami. Skoro, jak się zdaje, nie jesteśmy gotowi nalegać na to, by Polska została sprawiedliwie potraktowana, to nie jesteśmy przesadnie szczodrzy, jeśli udzielamy gościny tym Polakom, którzy obawiają się wrócić do swej ojczyzny. Nie mamy powodu i nie powinniśmy oczekiwać od nich nadmiernej wdzięczności, natomiast mamy prawo oczekiwać, że będą się zachowywali z elementarną przyzwoitością i musimy tego dopilnować. Musi być granica naszej gościnności. Polacy nie powinni oczekiwać specjalnych przywilejów kosztem zwykłego obywatela brytyjskiego i nie można im pozwolić na dezorganizowanie naszego życia narodowego''.

Oczywiście, ale czy w ogóle jest mowa o jakichś przywilejach? Żaden rozsądny Polak nie oczekuje ich, pragnąc jedynie równych praw. Jak się dalej okazuje, wyraźnie chodzi o nieporozumienia:

,,...Jest tylu uzbrojonych Polaków w Norfolk, że jeżeliby zorganizowali zbrojne powstanie, byliby znacznie silniejsi liczebnie od wojsk, które moglibyśmy szybko ściągnąć przeciw nim... Jeśli nie mają wrogich zamiarów nie mogą z uzasadnieniem sprzeciwiać się poważnemu zredukowaniu ich uzbrojenia. Jeśli mają wrogie zamiary lepiej będzie jeżeli zostaną rozbrojeni''.

W rzeczywistości dawno to nastąpiło. Niewątpliwie ten i ów lekkomyślnie schował sobie jakąś broń ,,na pamiątkę''; trzeba wywierać na takich nacisk, aby w interesie ogólnym jak najszybciej wykonali rozkazy o zdaniu broni. Ale całość tych wywodów *''Truth''* wyraźnie opiera się na nieporozumieniu.

Tak samo dalszy wywód na temat wysyłania żywności i odzieży do Polski. *''Truth''* skarży się, że Polacy otrzymują zezwolenie na wywóz różnych rzeczy do Polski i domaga się ograniczenia tych zezwoleń pisząc:

,,Jeśli Anglicy nie mają pełnego prawa wysyłania żywności i odzieży do swych przyjaciół i krewnych za granicą to Polacy nie powinni mieć takiego prawa''.

W rzeczywistości rzecz jasna żadnych specjalnych uprawnień nie ma, Polacy wysyłają paczki do kraju na tej samej podstawie, na której każdy mieszkaniec W. Brytanii może wysyłać je zagranicę, m.in. do Niemiec. Gdzie tu uprzywilejowanie?

Ostatnia skarga tygodnika angielskiego dotyczy obecności angielskich dziewcząt w obozach. W Norfolk ,,ogonki młodych kobiet'' wystają jakoby przed obozami polskimi. *''Truth''* stwierdza, że winę za zepsucie obyczajów ponoszą przede wszystkim same dziewczęta, niemniej jednak domaga się większej dyscypliny w obozach i położenia kresu obecnym stosunkom w tym względzie.

''Truth'' kończy ostrzeżeniem, którego nie możemy zignorować:

,,Wielu ludzi współczuje Polakom w ich cierpieniach. Byłoby rzeczą niefortunną, jeśliby tę sympatię przysłoniła odraza do nędznego zachowania się mniejszości z pośród tych, którym jest okazywana''.

LECTOR

Polska pod okupacją

Książka ma być też planowana i kontrolowana

Zajmując się sprawami krajowymi, pochłonięci jesteśmy zagadnieniami politycznymi lub gospodarczymi, przeoczamy niejednokrotnie inne sprawy. Tymczasem w Kraju dokonują się także inne zmiany, których znaczenie jest nie mniej ważne, niż sprawa wyborów sfałszowanych lub problem upaństwowienia przemysłu. Zmiany te dotyczą przede wszystkim spraw związanych z kulturą polską.

Ostatnio, tygodnik społeczno-literacki ,,Kuźnica'' (nr 23), który wyraża pogląd reżimu komunistycznego na sprawy kultury i sztuki, wystąpił z niebezpiecznym pomysłem zbiurokratyzowania książki polskiej. Wychodząc z założenia, częściowo uzasadnionego, że rynek wydawniczy wymaga uporządkowania, ponieważ książka w Polsce jest niesłychanie droga, dalej ponieważ jedna i ta sama książka jest wydawana przez trzy czy cztery instytucje, podczas gdy inne nie mogą znaleźć wydawcy, również ponieważ panuje supremacja gazet i czasopism ze szkodą dla produkcji książki — ,,Kuźnica'' jako drogę wyjścia z tej sytuacji proponuje stworzenie ,,państwowego planu wydawniczego'':

,,Sama zasada planowości — pisze ,,Kuźnica'' — jest dzisiaj bezsporna. Niewątpliwe jest także i to, że planowość jest niepodzielna. Nie może dotyczyć pewnych dziedzin życia a nie interesować się innymi. W naszym wypadku nie może obejmować tylko produkcji papieru, nie dbając o to, na co ten papier poszedł...

,,Dążność do wyeliminowania dubletów wydawniczych pociąga za sobą konieczność nie tylko odpowiednich aktów ustawodawczych, ale też centralnego ośrodka dyspozycyjnego dla spraw wydawniczych. Żadnego planowania wyobrazić sobie bez tego nie można. Dalszą konsekwencją jest system aprobowania planów wydawniczych poszczególnych wydawców. Zachodzą tutaj dwie możliwości: albo produkcja wydawnicza będzie mieć charakter wykonywanego skrupulatnie zamówienia owej komórki dyspozycyjnej, albo też kompetencje owego urzędu będą się ograniczać do kontroli i korekty planów wydawniczych przez wydawców. Tak czy inaczej musi powstać centralny plan wydawniczy opracowany na każdy najbliższy okres przez ów ośrodek dyspozycyjny przy współudziale wszystkich możliwych fachowców''.

I dalej:

,,Wydawcy z natury rzeczy bardziej są nastawieni na powodzenie księgarskie danego wydawnictwa, a mniej się liczą z koniecznościami kulturalnymi i społecznymi. Jeśli więc plany wydawnicze mają być wyrazem inicjatywy wydawców, należy poważnie liczyć się z niebezpieczeństwem powstania książek dogadzających poziomym instynktom i nie wiele mających wspólnego z zaspakajaniem potrzeb kulturalnych. Wychowywanie wydawców na drodze takiego czy innego kazania nie da, rzecz jasna, pożądanych wyników. Trzeba więc, żeby wydawcy czerpali do swych planów wydawniczych materiał, który już przejdzie przez sito oceny merytorycznej. Innymi słowy trzeba stworzyć Komisje Ocen. Komisjom tym musiałyby być przedstawione do oceny wszystkie rękopisy nowych tekstów, względnie projekty wznowienia już wydanych książek''.

Pomysł ,,Kuźnicy'' powołania ,,centralnego ośrodka dyspozycyjnego'' i stworzenia ,,komisji ocen'', która ma merytorycznie oceniać, czy dana książka powinna być wydana, zmierza do upaństwowienia książki w Polsce. Podobnie jak prasa w Polsce, książka ma być scentralizowana i zbiurokratyzowana, poddana dyktaturze komunistycznej, tak aby nie mogło ukazać się nic niewygodnego reżimowi lub sprzecznego z jego poglądami.

Urzeczywistnienie tych planów zabije rozwój kultury polskiej, która może rozwijać jedynie przy pełnej swobodzie myśli. I w tym względzie reżim tymczasowy chce upodobnić Polskę do Rosji Sowieckiej, gdzie pisarzom dyktuje się, co mogą pisać i co mogą wydawać.

STO TYSIĘCY STRON

Książka w Polsce walczy dzisiaj z rozmaitymi trudnościami, pokonuje je jednak stopniowo i dochodzi do pewnych wyników. Według obliczeń przeprowadzonych przez ,,Kuźnicę'' (nr. 22 i 23) w pierwszym kwartale bieżącego roku ogólna produkcja książek i broszur obejmuje 871 tomów, o łącznej objętości ok. stu tysięcy stron. W porównaniu z pierwszym kwartałem ubiegłego roku ilość tytułów bieżącego roku stanowi wzrost o 36 pct. Produkcja tego kwartału bieżącego roku jest też większa od przeszłorocznej średniej rocznej — 812 tytułów.

Ciekawie przedstawiają się dane dotyczące ilości tytułów w różnych działach książek. Na pierwszym miejscu stoi literatura piękna (113 tytułów), dalej idą wydawnictwa dla młodzieży (97), książki religijne (76), historia (50), podręczniki szkolne (46), nauki i zagadnienia społeczne (46), przemysł, rzemiosło handel, transport (46), technika (40), muzyka, teatr i kino (38). Na dalszym planie idzie nauka o literaturze, prawo i administracja, polityka i publicystyka, oświata i wychowanie, nauki przyrodnicze itd.

,,Kuźnica'' analizując różne przytoczone przez nią cyfry stwierdza, że ilość broszurek we wszystkich działach wydatnie zmalała, a wzrosła natomiast produkcja książek.

,,Z poszczególnych działów — pisze ,,Kuźnica'' — zwraca uwagę poważny wzrost ilości wydawnictw religijnych, które w marcu osiągnęły największą ilość tytułów bo aż 43, co stanowi 15 proc. produkcji wydawanej tego miesiąca t.zn. tyle samo, co literatura piękna i więcej od wszystkich pozostałych działów... Poważnie natomiast zmniejszyła się ilość broszur publicystycznych, która w roku 1946 dochodziła do 1/5 produkcji wydawniczej. Zaznacza się równocześnie wzrost ilości wydawnictw naukowych, szczególnie szybko rosną wykazy nowych wydawnictw popularno-naukowych, broszurek technicznych i gospodarczych. Zmalała jedynie ilość publikacji historycznych, co łączy się ze szczególnie silną w pierwszym dwuleciu kampanią wydawnictw dokumentarnych z okresu okupacji''.

Poważnym sygnałem alarmowym jest zmniejszenie się ilości wydawnictw z dziedziny literatury pięknej. Udział jej w ogólnej produkcji zmalał z 18,3 pct w roku 1946 na 13 pct w roku bieżącym.

CO LUDZIE CHCĄ CZYTAĆ

,,Kuźnica'' ogłosiła wśród swych czytelników ankietę na temat: ,,Jakich dziesięć książek z zakresu literatury polskiej i obcej należy w Polsce wydać jak najszybciej''. W odpowiedzi największą ilość głosów w pierwszej dziesiątce otrzymali: Mickiewicz, Żeromski, Tołstoj, Słowacki, Orzeszkowa, Sienkiewicz, Dąbrowska, Martin du Gard, Stendhal i Prus. Pisarze marksistowscy otrzymali miejsca bardzo dalekie.

Wyniki tej ankiety są charakterystyczne dla nastrojów panujących w Kraju, zważywszy zwłaszcza, że obejmowała ona przede wszystkim to środowisko, które sympatyzuje z poglądami komunizujących pisarzy tego tygodnika.

BRAK KSIĄŻKI NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

,,Gazeta Ludowa'' (nr 162) pisze o katastrofalnym stanie książki polskiej na Ziemiach Odzyskanych.

,,Urzędowa rejestracja bibliotek — czytamy — w dn. 1 stycznia rb., wykazała, iż na Ziemiach Odzyskanych jedna książka musi obsłużyć: w miastach — 15 mieszkańców, na wsi — 265 mieszkańców.

,,W bibliotekach szkolnych jedna książka przypada: w miastach — na 13 uczniów, na wsi — na 24-ch

,,Ten katastrofalny brak książki polskiej wpływa hamująco na proces zespalania się Ziem Odzyskanych z Macierzą. Ludność napływowa nie czyta nic, szukając innych rozrywek, ludność miejscowa natomiast czyta nadal książki niemieckie, przez co — zamiast zacierać się — pogłębiają się nadal antagonizmy między przybyszami a autochtonami.

,,Repolonizacja Ziem Odzyskanych wymaga jak najszybszego włączenia ich w obręb promieniowania polskich dóbr kulturalnych, a przede wszystkim literatury pięknej. W szkołach na Ziemiach Odzyskanych zdarzają się wypadki, iż dzieci wyrzekają się dobrowolnie przerwy międzylekcyjnej, aby dokończyć rozpoczętej przez nauczyciela lektury ,,Grażyny'' Mickiewicza, czy innego utworu polskich poetów. Czar piękna mowy polskiej rozbudza głód, który trzeba zaspokoić szybko, sprawnie i rozumnie.

,,A trzeba ponadto pamiętać, iż na Ziemiach Odzyskanych nie ma bibliotek prywatnych. Własna książka polska w mieszkaniu należy tam do rzadkości — cały ciężar odpowiedzialności za dostarczenie lektury spada więc na biblioteki publiczne i szkolne...

,,Księgozbiory bibliotek publicznych na Ziemiach Odzyskanych muszą wzrosnąć w możliwie najkrótszym czasie do 900 tys. tomów, co dopiero pozwoli osiągnąć niezbędne minimum: 3 tomy na jednego czytelnika.

,,Ziemie Odzyskane — kończy ,,Gazeta Ludowa'' — wołają wielkim głosem o polską książkę. Żaden Polak nie może pozostać głuchy na to wołanie naszych odzyskanych dla Ojczyzny rodaków''.

Może nasza emigracja, która ostatnio pośpieszyła z tak hojną pomocą dla dzieci polskich na Ziemiach Odzyskanych, byłaby w stanie i tu pomóc. Zaspokojenie głodu słowa polskiego jest nie mniej ważne od zaspokojenia głodu chleba powszedniego.

TADEUSZ NALER

NASZ SPK ZNAK
STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW
ROK I 12 LIPCA 1947 Nr. 13

Nowe władze SPK

Nowa Rada Główna SPK na swoim pierwszym, konstytucyjnym zebraniu wyłoniła w drodze wyborów ze swego grona Prezydium oraz Zarząd Główny SPK.

W skład Prezydium Rady Głównej SPK weszli koledzy:

Henryk Piątkowski — przewodniczący
Karol Ziemski — wiceprzewodniczący
Marian Czarnecki — wiceprzewodniczący
Tadeusz Drwęski — sekretarz
Mieczysław Kleczyński — sekretarz

Skład Zarządu Głównego SPK przedstawia się następująco:

Antoni Opel-Nowak — prezes
Bolesław Łaszewski — 1-szy wiceprezes
Mikołaj Pankiewicz — 2-gi wiceprezes
Zdzisław Dołęga-Jasiński — sekretarz generalny
Józef Garliński — członek Zarządu
Zofia Kasprzycka — członek Zarządu
Leon Kowal — członek Zarządu
Izydor Kwieciński — członek Zarządu
Jan Radomyski — członek Zarządu
vacat — członek Zarządu
vacat — członek Zarządu

Nieobsadzone miejsca zostaną uzupełnione na następnym zebraniu Rady, które odbędzie się za trzy miesiące.

Zarząd Główny SPK (Komitet Wykonawczy) jest w praktyce najważniejszym zespołem wśród Władz Głównych Stowarzyszenia, ponieważ na jego barkach spoczywa główny ciężar wprowadzenia w życie wszystkich uchwał i postanowień Walnego Zjazdu, jak też prowadzenia całej działalności SPK.

LISTA ZASTĘPCÓW CZŁONKÓW RADY SPK — UCHWALONA PRZEZ II. WALNY ZJAZD

1. Matuszewski Leon, kpt., członek Rady SPK, 2. Żarnowiecki Robert, kpt., Koło Londyn, 3. Dudziński Jerzy, Koło 391, 4 Sołowiej Kazimierz, ks. kapelan, Okr. Szkocja, 5. Mackus Adam, major, Okr. Szkocja, 6. Wojciechowska Jadwiga, ppor., Koło 30, 7. Siwek Józef, Okr. Szkocja, 8. Pasek Władysław, por., Okr. Żubr, 9. Żarnowski Zbigniew, Koło 30, 10. Bączkowski Konstanty, chor., Koło 321. 11. Gajewski M., wachm., 12. Maśliński Jan, kpt., Koło 1 i 30 (zrezygn.). 13. Hajducki Józef, Koło 30, 14. Jołowski Stefan, mjr., Okr. Szkocja, 15. Jokisz Narcyz, ppor. inż., Okr. Szkocja, 16. Drzewieniecki Włodzimierz, kpt., Koło 1 i 30, 17. Rudzki Adam, por. Okup. Bryt., 18. Kruk Stefan, st. sierż., Belgia, 19. Dobrowolski Tomasz, kapr., Okr. Karpacka, 20. Firlej Antoni, major, Koło Londyn, 21. Białek Włodzimierz, Okr. Syrena, 22. Chmielewski Mieczysław, kpt., Śr. Wsch., 23. Wolińska Gertruda, strz., Okup. Bryt., 24. Kaczkowski Stanisław, kapr., Okup. Bryt., 25. Aleksandrowicz Aleks., ppłk., Okup. Bryt., 26. Kraute Czesław, kpt., Okup. Bryt., 27. Mańkowski Andrzej, kpt., Okup. Bryt., 28. Szurgot Kazimierz, kpt., Okup. Bryt., 29. Antoniewicz-Woysyn Roman, por, Okup. Bryt., 30. Piasecki Adam, por., Okup. Bryt., 31. Klinowski Tadeusz, Okup. Bryt., 32. Kozak Witold, mjr., prawnik, Okup. Bryt., 33. Niedzielski Mieczysław, Okup. Bryt., 34. Rawski Czesław, ppor., Okup. Bryt., 35. Relencki Tadeusz, por., Okup. Bryt., 36. Rusocki Arnold, ppłk. Okup. Bryt., 37. Domański Stanisław, por., Francja, 38. Thener Artur, kpt., Francja, 39. Miechówka Stanisław, Stanisław, por., Francja, 40. Myciński Lucjan, major, Francja, 41. Zahorski Witold, PRO, Włochy, 42. Tuwan Janina, Okup. Bryt., 43. Wielhorski Janusz, por., Francja, Ok. Amer., 44. Jodłowski Stefan, major, Szwecja, 45. Zaremba Henryk, por., Okup. Amer.

LISTA CZŁONKÓW KOMISJI REWIZYJNEJ — UCHWALONA PRZEZ II. WALNY ZJAZD

1. Baranowski Antoni, mjr., Francja, 2. Świeszkowski Marek, por., Okup. Franc. i Bryt., 3. Tysowski Gustaw, ppłk. Okup. Bryt., 4. Szabelski Konstanty, mgr. asp., Okup. Bryt., 5. Dehnel Władysław, kpt., Belgia, 6. Konopacki Czesław, kpt., Koło 421, 7. Harcaj J., ppłk., Koło 457, 463, 8. Konwerski Czesław, ppłk., Koło 30, 9. Grossman Henryk, PRO. Okr. Karpacka, 10. Tarnowski Dariusz, mjr., 1. Dyw. Gr., 11. Lichnowski Franciszek, por., Koło 14.

ZASTĘPCY

1. Romaniec Władysław, szer., Koło 463, 2. Płaczak Jan, ppor., Koło 30, 3. Zychowski Władysław, por., Okr. Szkocja, 4. Grocbolski Andrzej, kpt.

Cyfry zjazdowe

— SPK w chwili obecnej liczy 430 Kół (65 000 członków).

— Na II. Walnym Zjeździe Delegatów SPK było statutowo reprezentowanych 284 Kół (45 300 członków).

— Poszczególne oddziały SPK były reprezentowane następująco:
Wielka Brytania — 155 Kół (16 500). Okupacja Brytyjska — 68 Kół (19 700). Okupacja Amerykańska — 13 Kół (2 500). Francja — 8 Kół (1 100). Belgia — 10 Kół (400). Szwajcarja — 2 Koła (100), Italia 9 Kół (1 600). Środkowy Wschód 7 Kół (1 600). Kanada — 12 Kół (1 800).

— Na Zjeździe zweryfikowano 398 głosów (mandatów) dysponowanych przez 247 delegatów.

— Na Zjeździe były obecne delegacje wszystkich Oddziałów, z wyjątkiem Kanady i Okupacji Francuskiej.

— Cyfry zjazdowe odbiegały daleko od wymaganej dolnej granicy, t.zn. 144 Kół (1/3 ogólnej ilości Kół) oraz 16 300 członków (1/4 ogólnej ilości).

Jak z tych cyfr widzimy, II. Walny Zjazd Delegatów PSK był doskonale obesłany i w pełni reprezentował całość Stowarzyszenia.

W obronie rodziny polskiej

II. Walny Zjazd Delegatów SPK wyłonił na czas obrad specjalną Komisję dla Spraw Sprowadzenia Rodzin. Komisja zapoznała się z licznymi wnioskami nadesłanymi przez Koła SPK na Zjazd oraz materiałami dostarczonymi przez poszczególnych delegatów. Owocem prac tej Komisji były wnioski przedstawione na plenum Zjazdu. Zjazd doceniając w pełni ważność tej sprawy przyjął wnioski przez aklamację.

Uchwała Zjazdu w sprawie sprowadzenia rodzin brzmi jak następuje:

„1. *Walny Zjazd Delegatów SPK wzywa Władze Główne SPK do energicznego kontynuowania wszystkimi dostępnymi środkami akcji, mającej zapewnić jak najszybsze połączenie się rodzin, w szczególności tych, które przebywają w Afryce Wschodniej, Indiach i na Bliskim Wschodzie.*

1. *Jednocześnie delegaci zobowiązują się użyć swego wpływu na członków SPK celem nadania staraniom Władz Głównych SPK maksimum solidarności i koordynacji.*

2. *Rada Główna SPK wyłoni do Komitetu Wykonawczego referenta dla spraw połączenia rodzin.*

3. *Walny Zjazd uznaje konieczność natychmiastowej intensywnej akcji w celu sprowadzenia rodzin z Afryki Wschodniej, Indii i Bliskiego Wschodu i celem przeprowadzenia jej poleca Komitetowi Wykonawczemu powołanie koniecznego personelu na okres trwania akcji oraz upoważnia Komitet Wykonawczy do doraźnego pokrycia przewidzianego na to wydatku w kwocie £200 z funduszów SPK z tym, że kwota powyższa zostanie zwrócona SPK przez zainteresowanych w drodze składek.*

4. *Walny Zjazd poleca Komitetowi Wykonawczemu poczynić starania o przyspieszenie i uprawnienie połączenia się rodzin z terenu Niemiec i Francji oraz poleca Komitetowi Wykonawczemu rozpracować sprawę przyjazdu rodzin z innych terenów.*

5. *Walny Zjazd zwraca uwagę Komitetowi Wykonawczemu, że akcja łączenia rodzin musi być ściśle skoordynowana z zagadnieniem osiedlenia rodzin i warunkami ich normalnego bytowania*".

Oprócz powyższych nakazów dla Komitetu Wykonawczego SPK, Walny Zjazd uchwalił wytyczne, przeznaczone również dla Oddziałów, Okręgów, Kół i delegatów SPK. Wytyczne ujęto w następujące punkty:

a) *Utworzenie na terenie Oddziałów, Okręgów i Kół referatów dla spraw połączenia rodzin, których zadaniem będzie utrzymanie ścisłej łączności z referentem spraw połączenia rodzin (Komitetu Wykonawczego) oraz dostarczenie wszystkich potrzebnych i pożytecznych informacji tak w górę, jak i w dół Stowarzyszenia;*

b) *w celu doprowadzenia do szybkiego i pomyślnego rezultatu wszczętą już akcję sprowadzania rodzin w ogóle, a rodzin z Afryki, Indii i Bl. Wschodu w szczególności — prowadzić nadal wszelkimi dostępnymi sposobami akcję wpływania na opinię angielską w kierunku naszych postulatów odbudowy życia rodziny jako podstawy społeczeństwa;*

c) *poczynienie starań o moralne, finansowe i transportowe poparcie ze strony bratniej Polonii amerykańskiej;*

d) *celem pokrycia wydatków specjalnych, związanych z czasowym nasileniem akcji sprowadzania rodzin — przeprowadzić składkę wśród zainteresowanych. (Rozliczenie z tak powstałego funduszu obciąży referenta Komitetu Wykonawczego dla spraw połączenia rodzin)*".

Według informacji podanych prasie polskiej przez Generalnego Inspektora PKPR, gen. Kopańskiego, na konferencji prasowej w dn. 23 czerwca br. obecny stan akcji sprowadzania rodzin wojskowych przedstawia się następująco:

Ogólna ilość członków rodzin objętych tą akcją wyraża się okrągłą liczbą 32.000. Są to nie tylko żony i dzieci, ale i inne kategorie krewnych. "War Office" dało zapewnienie, że do końca 1947 roku sprowadzi na teren Wysp Brytyjskich 17.000 osób, a resztę — wczesną wiosną 1948 roku. Rodziny opuszczą przede wszystkim tereny, na których wpływają na to czynniki polityczne, a więc Bl. Wschód i Indie. Afryka natomiast znajduje się w drugiej kolejce.

Starania polskiego dowództwa idą w kierunku uzyskania wcześniejszych terminów, szczególnie jeżeli chodzi o Afrykę i Indie, gdzie stan zdrowotny rodzin zaczyna być zatrważający.

Sprawa sprowadzania rodzin z terenu Europy przedstawia się lepiej. W Niemczech działa specjalna ekipa utworzona przez 1. Dywizję Pancerną. Listy rejestracyjne uwzględniają szeroki wachlarz stopni pokrewieństwa, ale los dalszych krewnych nie jest zdecydowany i nasuwa wątpliwości.

Wielką przeszkodą w akcji łączenia rodzin na terenie już samych Wysp jest katastrofalny brak mieszkań, który odczuwa całe społeczeństwo brytyjskie. Natomiast w wyżywieniu uzyskano poprawę, szczególnie jeżeli chodzi o niemowlęta.

Jak z tego oficjalnego oświadczenia można sądzić, polskie władze wojskowe nie zaniedbują tej sprawy — niemniej jednak energiczna akcja ze strony społecznej, reprezentowanej przez SPK, przy solidarnym poparciu jej przez szeroki ogół członków, może przyczynić się do szybszego rozwiązania tego naprawdę palącego problemu.

Życie rodzinne jest podstawą naszego istnienia — Walny Zjazd Delegatów SPK wykazał pełne zrozumienie tej prawdy.

Zjazd Grenadierów

W dniu 24 czerwca odbył się w Londynie Zjazd żołnierzy 1. Dywizji Grenadierów, która walczyła we Francji w r. 1940.

Po nabożeństwie odprawionym w Brompton Oratory przez b. kapelana dywizji Ks. Dziekana Bombasa odbyło się zebranie uczestników Zjazdu. Przybyłych powitał b. dowódca Dywizji gen. Duch, który oddając na wstępie hołd poległym grenadierom apelował do wszystkich żołnierzy b. 1. Dywizji Grenadierów we Francji oraz grenadierów z terenu W. Brytanii o kultywowanie pięknych tradycji Dywizji, która tak wspaniale zapisała się w walkach na terenie Francji w r. 1940.

Zjazd uchwalił powołanie do życia Zrzeszenia Kombatantów b. 1. Dywizji Grenadierów, które przyjmując za podstawę działalności zasady ideowe SPK roztoczy opiekę nad swymi członkami a w szczególności nad inwalidami i rodzinami po poległych żołnierzach Dywizji. Związek działając w ramach i w porozumieniu z SPK będzie dążył do zapewnienia żołnierzom dywizji praw kombatanckich na terenie Francji i przyznania im odpowiednich przywilejów.

Po omówieniu zagadnień organizacyjnych wybrano władze Związku. Prezesem Zarządu Centralnego wybrany został kpt. S. Lis.

Zjazd zwraca się do wszystkich kolegów żołnierzy b. 1. Dywizji Grenadierów we Francji oraz żołnierzy oddziałów grenadierów na terenie W. Brytanii o przesłanie w jak najkrótszym czasie swoich adresów wraz z podaniem stopnia i przydziału w czasie służby w dywizji, a to: koledzy przebywający na kontynencie pod adresem: Col. S. Brzeszczyński, 50 Avenue de Paris, Vincennes (Seine), zaś koledzy przebywający w W. Brytanii pod adresem: Stow. Pol. Kombat. Koło 1 Dyw. Gren. 18—20 Queens Gate Terrace, London S.W.7.

Sport sprawdzianem dzielności narodu

Wydobywanie i pokazywanie nie dla wszystkich widocznych, ukrytych cech i właściwości Narodu — jest rzeczą zawsze pożyteczną, a w niektórych wypadkach jak np. w warunkach emigracji wręcz konieczną. Konieczną przede wszystkim dla tego, że społeczeństwo emigracyjne wytrącone z łożysk kultury własnej i znajdujące się pod silnym wpływem kultury obcej — łatwo traci poczucie siebie samego. W tych warunkach łatwiej, niż kiedy indziej, daje się oszukać pozorom, przypisując wszystko co dobre wpływom nowej kultury otoczenia, a wszystko co złe — pozostałościom dziedzicznym kultury rodzimej. Zachowanie jedności narodowej, zachowanie poczucia narodowego w warunkach pogardy dla wszystkiego co polskie i uwielbienia dla wszystkiego co „tutejsze" — staje się zadaniem szczególnie trudnym.

Dlatego naprawdę rozsądne i pożyteczne jest pokazanie i spopularyzowanie choćby tylko pośród nas samych tych cech naszego charakteru narodowego, tych właściwości dodatnich, które już w najbliższym czasie mogą być ogłoszone jako „nabytek emigracyjny" jako dobrodziejstwo kontaktu ze społeczeństwem wyżej od nas kulturalnie usytuowanym. Szczególnie łatwe to będzie w sporcie!

Tu bardziej niż gdziekolwiek indziej będziemy skłonni wszystkie ewentualne zdobycze naszej emigracji na tym polu przypisywać nie naszym właściwościom narodowym, ale wpływowi wychowawczemu Brytyjczyków, którzy są niezaprzeczalnymi odkrywcami sportu i mistrzami w tej dziedzinie. Ażeby zawczasu przeciwstawić się tej ewentualności i ustrzec się przed zupełnie niepotrzebnym, a szkodliwym pomniejszaniem swoich własnych wartości musimy ustalić warunki, w których staje się możliwy tzw. rozwój sportu.

Wnikliwsi działacze sportowi różnych narodów zgodnie stwierdzają, że naturalny rozwój sportu dobrowolnego, jako organizacji społecznej, jest ściśle uzależniony od warunków gospodarczych kraju. W okresach biedy powszechnej, głodu i bezrobocia — sport dobrowolny zamiera. Troska o chleb powszedni, troska o byt własny i najbliższych zabija wszelką kulturę — zabija sport. W warunkach biedy gospodarczej, gdy ludzie żyją w ciągłej pogoni za pożywieniem — można mówić wyłącznie o sporcie przymusowym, amatorskim czy zawodowym — obojętnie, uprawianym z rozkazu, sporcie — jako środku zdobycia dodatkowych zarobków i pożywienia. Sport dobrowolny, żywiołowy, powstający z radości wyżycia się w ruchu i współzawodnictwie — ten naturalny sport na którym się nie zarabia, wymaga odpowiednich warunków choćby umiarkowanego dobrobytu gospodarczego.

Ale prócz tego podstawowego warunku — gospodarczego — o powszechnym rozwoju dobrowolnego sportu decydują również pewne skłonności duchowe narodu, które można by ogólnie nazwać dzielnością lub prężnością narodu. Nie wszystkie bowiem gospodarczo ustabilizowane, zamożne narody w jednakowym stopniu zrealizowały u siebie powszechny rozwój dobrowolnego sportu. Narody dzielniejsze mają pod tym względem znacznie lepsze rezultaty.

Warunkując powszechny rozwój sportu tymi dwoma względami: gospodarczym i dzielnością narodu, musimy stwierdzić, że wśród społeczeństw dzielnych w sprzyjających warunkach gospodarczych sport powstaje żywiołowo niezależnie od tego, czy ma czy nie ma poparcia ze strony czynników państwowych, oficjalnych, urzędowych. Sport ten ma przeważnie charakter zupełnie niezależny i wyłącznie społeczny. Biorąc ten fakt pod uwagę możemy zaryzykować twierdzenie, że dobrowolny, społeczny sport jest sprawdzianem dzielności narodu.

Streszczając wszystko, co już powiedzieliśmy, musimy zadać pytanie: „czy my Polacy jesteśmy narodem dzielnym, który ma sport we krwi, czy też narodem — w najlepszym wypadku — tylko posłusznym, który uprawia sport wyłącznie na rozkaz, na zarządzenie z góry, pod presją?"

Odpowiedź na to pytanie musi każdemu Polakowi sprawić prawdziwą przyjemność. W zniszczonej, zabiedzonej Polsce, tylko co powstałej do życia samoistnego po wojnie światowej nr. 1 — mimo braku funduszów, mimo powszechnej biedy (najgorszego wroga sportu dobrowolnego), mimo konieczności odbudowy zniszczeń wojennych powstawał — wyłącznym wysiłkiem społeczeństwa — sport dobrowolny.

Dopiero później, kiedy Polacy już zamanifestowali swoją obecność na pierwszej po wojnie Olimpiadzie roku 1920 w Antwerpii i udanie startowali na Olimpiadzie paryskiej, powstał w Polsce PUWF i PW, została zwołana pod przewodnictwem marsz. Piłsudskiego Rada Naukowa W.F., rozpoczęła się systematyczna opieka Państwa nad kulturą fizyczną narodu, opieka skierowana głównie na wychowanie fizyczne i na rozwój turystyki — w najmniejszym zaś stopniu na rozwój powszechny sportu.

A jednak dobrowolny, społeczny sport rozwijał się nieustannie. Opieka Państwa miała na celu raczej wyzyskanie powstającego spontanicznie ruchu do zadań ogólnopaństwowych, a nie pobudzanie i tworzenie tego ruchu. Sportu w Polsce pobudzać nie było trzeba.

Twierdzenie, że: „sport jest we krwi narodu polskiego" znajduje swoje najbardziej przekonywujące uzasadnienie w fakcie istnienia „sportu podziemnego" w Polsce okupowanej przez Niemców. O przejawach tego sportu bez precedensu, sportu wymagającego nieraz ofiary z życia — czytaliśmy niejednokrotnie, czytaliśmy również i ciągle czytamy w sporcie istniejącym obecnie w Kraju. Wiemy, że rozwój tego sportu spoczywa wyłącznie na barkach społeczeństwa. Obecny rząd tylko przeszkadza, a nie pomaga w rozwoju kultury fizycznej (podatki, wciąganie do polityki, alkoholizowanie społeczeństwa, utrudnianie kontaktów z zagranicą i trudności komunikacyjne). W tych warunkach nawet odbudowa urządzeń sportowych odbywa się przeważnie wysiłkiem społeczeństwa.

Podobnie w 2 Korpusie we Włoszech na krótkich odpoczynkach pomiędzy jedną bitwą a drugą, dosłownie pod armatami grano w siatkówkę i piłkę nożną. Zupełnie regularne, przepisowe mecze piłki nożnej odbywały się w miejscu postoju 3 Brygady Strzelców Karpackich w Predapio (miejscu urodzenia Mussoliniego!) Na te mecze niektórzy gracze z innych brygad Dywizji Karpackiej, już zaangażowanych w akcji — dojeżdżali prosto z odcinka, z okopów. Po meczu wracali na pierwszą linię boju. To nie bajki, świadczą o tym tacy żołnierze-piłkarze, jak: Czarnecki, Krupa, Sitko, Mikunda. Zupełnie powszechnym, naprawdę masowym stał się sport wówczas, gdy po zajęciu Bolonii 2 Korpus zatrzymał się na dłuższy odpoczynek.

I wreszcie ostatni etap naszej wędrówki: Wielka Brytania. Tu mamy wszelkie warunki dla uprawiania sportu. Głodu nie znamy, bieda — tym, którzy chcą pracować — nie grozi. Troska o przyszłość paraliżująca na początku wszelkie nasze życiowe poczynania, zaczyna stopniowo, w miarę przyzwyczajenia, opadać. Należy przypuszczać, że wkrótce — jak dawniej w Polsce, lecz w warunkach korzystniejszych — zacznie powstawać dobrowolny sport polski na emigracji tu w Wielkiej Brytanii. Zacznie powstawać niezależnie od rozkazów z góry, jako dobrowolny, niezależny ruch społeczny, nie oglądający się na pomoc, poparcie, instrukcje.

I wówczas niech nikt nie powie, że nauczyliśmy się tego od Anglików! Mamy sport we krwi. Gdzie są Polacy, tam jest sport niezależnie od poparcia czy nawet przeszkadzania tzw. „czynników powołanych"!

JÓZEF WŁODARKIEWICZ

Strach przed polską wydajnością

„Dwaj żołnierze polscy z jednego z obozów szkockich otrzymali pracę na południu Anglii, w firmie wyrabiającej iglice do karburatorów. Dzienna produkcja przeciętna robotnika angielskiego wynosi 500 iglic. Polacy wyrabiali 1200 iglic, a po pewnym czasie doszli nawet do 1500.

Jak donosi manchesterski „Empire News", na skutek nacisku ze strony robotników, dyrekcja firmy zwolniła owych Polaków, którzy wrócili do swej jednostki wojskowej".

Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza — 21.VI.1947.

Podłożem niechęci *Trade Unionów* do przyjmowania Polaków do pracy w W. Brytanii jest niewątpliwie strach przed wydajnością polskich pracowników.

Podobnie jak w niektórych dzielnicach Polski przed rozbiorami, w czarnych okresach historii, chłop broniąc się przed wyzyskiem pańszczyźnianym zaczął celować w „markierowaniu" podczas pracy na cudzym, tak i w W. Brytanii norma wydajności robotnika zeszła do minimum, co było formą obrony przed wyzyskiem ze strony kapitału po Rewolucji Przemysłowej.

Nie wchodząc w to, co ostatecznie grało większą rolę, czy straszne warunki życia i pracy w osiemnastym i dziewiętnastym wieku, czy sam wyraz buntu przeciw nim — fakt pozostaje faktem, że robotnik brytyjski został „dziedzicznie obciążony" i wydajność jego pracy jest mniejsza, aniżeli jakiegokolwiek robotnika europejskiego lub amerykańskiego.

Wśród "*managerów*" personalnych w brytyjskich zakładach fabrycznych, do których rozesłano psychologów kształconych w tym celu, przeważa opinia, że brak zainteresowania się pracą ze strony robotnika — poza jednym maleńkim działem mechanicznie wykonywanych przez niego czynności — jest jedną z przyczyn niedomagań wydajności. Okazuje się również, że jest tragiczny brak elementu zdolnego do objęcia stanowisk "*foremanów*", majstrów, przodowników. Nie ma ich nawet wśród młodych, którzy powrócili z wojska! Wszystko to nie tylko napawa strachem czynniki kierownicze w przemyśle brytyjskim, ale także „uzasadnia" obawy robotników przed konkurencją polską. Dlatego przejawia się skłonność sprowadzania mniej wydajnych i inteligentnych obcokrajowców.

Nie dziesięć i nie dwadzieścia przykładów odsuwania Polaków od pracy na skutek ich wydajności — można by zacytować. Szczególnie Polacy są narażeni w takich zawodach, jak np. murarstwo, gdzie jednostkowe wyniki pracy wychodzą na jaw.

Jak się wydaje, jest jedna rada na tę zasadniczą trudność: zdecydowanie zahamować w pracy wśród Brytyjczyków polską energię i wydajność, a dostosować się do tempa brytyjskiego. (Druga rada — to tworzyć własne przedsiębiorstwa). Obniżenie własnej wydajności i ukrycie prawdziwych możliwości nie zbyt odpowiadają polskiemu charakterowi i mogą wzbudzić zastrzeżenia natury moralnej. Jednak jest to jedyny sposób w warunkach brytyjskich.

Po upływie pewnego okresu czasu i zdobyciu zaufania wśród współpracowników — można odkryć swoje rzeczywiste możliwości. Jest to taktyka, którą bez wahania przyjąłby każdy Brytyjczyk w podobnym położeniu. Musimy dostosować się do potrzeb i zrozumieć powody niechęci brytyjskiego kolegi na widok Polaka, wyrabiającego swobodnie, np. przy układaniu cegieł, trzykrotnie większą normę. Chociaż polski temperament i ambicja „pokazania się" będą stwarzać trudności — trzeba jednak się dostosować. Pozwoli to uzyskać zaufanie współpracujących i ewentualnie wykorzystać szansę podniesienia się w klasie pracowniczej.

Wspomniane bowiem braki zdolnych pracowników na "*foremanów*" otwierają możliwości dla Polaków — w zwolnionym jednak tempie. Po zgraniu się z otoczeniem i zyskaniu zaufania można będzie stopniowo wyrównać swoją taktycznie zmniejszoną wydajność do właściwej normy. Wtenczas zdolność, która chwilowo przeszkadzała, może Polaka wysunąć na czoło.

Obecnie jednak nawet w wypadku pozytywnego ustosunkowania się współpracowników pracodawcy do zmiany stanowiska Polaka na odpowiedzialniejsze i lepiej płatne — na przeszkodzie może stanąć *Labour Exchange*. Mamy nadzieję, że po upływie pewnego czasu i ta przeszkoda zniknie. Trzeba jednak ten czas próby przetrwać w skromnym „umiarkowaniu", a nie błyszczeć wydajnością, która zamiast laurów przynosi dymisję. Trzeba zdać egzamin z tej „dyplomacji" robotniczej, zdać egzamin z „taktyki" w kraju, w którym walka o byt była bardzo ostra i pozostawiła po sobie tak głębokie ślady.

Trzeba przy tym pamiętać, że wśród Polaków są też jednostki mało wydajne i leniwe, a wśród Brytyjczyków również spotykamy wybitnie zdolne. Nie należy przeto grzeszyć zarozumiałością.

WŁADYSŁAW LIS

Można pójść na grzybki

— Brytyjczycy nawet przy równych stawkach płacy zawsze mają się lepiej od nas — wzdycha mój znajomy. — Bo każdy z nich ma już mieszkanie, meble, graty... A ty, człowieku, wszystko sobie kupuj! Jeśli w ogóle dostaniesz...

I „gość" ma rację. Ale mieć rację, to czasem za mało. Trzeba jakoś zaradzić złemu, zapewnić sobie dodatkowych parę szylingów, które stopniowo wypełnią braki i zaspokoją zaległe potrzeby.

Z „Home Office" nadeszło wyjaśnienie, że cudzoziemcy mający jakieś stałe zatrudnienie mogą bez specjalnego pozwolenia zarobkować dodatkowo, wykorzystując wolny czas (sparetime job). Trzeba więc tylko wpaść na jakiś pożyteczny pomysł, trzeba naprawdę dobrze się zastanowić, bo nic samo nie przyjdzie!

Znam takiego, który już to uczynił.

Wynajął u gospodarza domu, w którym mieszkał ... kąt piwnicy. Postanowił hodować — pieczarki. Kiedyś, jeszcze w Polsce, widział, jak to robił jego kuzyn. To nie jest skomplikowane — prosta, nieciężka praca. Prawie że samo to rośnie. Trzeba tylko wszystko dobrze przygotować i sumiennie uzupełnić braki w doświadczeniu. Oczywiście nie należy się spodziewać zrobienia fortuny przez noc. Ale czy wiesz, że 60 stóp kwadratowych powierzchni dobrze uprawione daje bez trudu w okresie 3 miesięcy do 100 funtów pieczarek? Bez lipy!

A chcesz wiedzieć, jakie są ceny? Popatrz — są na wystawach sklepowych. Wszędzie znajdziesz zbyt. A zresztą już jacyś ruchliwi przedsiębiorcy założyli na terenie Londynu spółkę skupu pieczarek od drobnych producentów. Kupują także przesyłki z prowincji. Pieczarki dobrze znoszą transport. Spółka gwarantuje stały odbiór całej wyprodukowanej ilości. Zapłata gotówką — ceny dobre. Jeśli więc ktoś sam nie umie zorganizować sprzedaży — zbyt ma zapewniony.

Załatwiając tę kupiecką czynność spółka robi jednocześnie drugi interes: zaopatruje producenta w „nasiona" (bo i pieczarki trzeba tam jakoś siać) — oraz użyźniacze gleby, tak że nawet legendarny koński nawóz nie jest konieczny. Zbiór przez cały rok!

Dość już o tym, niech o szczegółach mówią fachowcy. Jedno tylko chcę jeszcze stwierdzić — wielu już w Anglii poszło „na grzybki" ... Ale mój znajomy hodowca pieczarek wyjdzie na swoich grzybkach nie najgorzej.

Jest to tylko jeden z przykładów — jest ich więcej. Zamiast narzekać — szukajcie nowych dróg!

ZEN

Dwugłos o polskiej inteligencji

Zamykając w ostatnim numerze „Naszego Znaku" dyskusję na temat możliwości zatrudnienia inteligencji polskiej w W. Brytanii, obiecaliśmy zamieścić w tym numerze omówienie całości. Wobec nadesłania nam poniższej recenzji (i braku miejsca) wstrzymujemy się do następnego numeru, sądząc, że pewne momenty naszej dyskusji mogą być z pożytkiem zestawione z myślami autorów książki omawianej przez recenzenta. (Red.)

Należy się pochwała Instytutowi Literackiemu w Rzymie za wydanie szeregu wartościowych pozycji, z których przednie miejsce zajmuje: „Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej" J. Chałasińskiego i J. Ulatowskiego.

Książka ta, poruszająca żywotne zagadnienie inteligencji polskiej, zasługuje, by ją przeczytać i przemyśleć już dzisiaj. Powinna być zwłaszcza szeroko omówiona w kołach emigracyjnych inteligencji. (Do nabycia "The Vistula Press" — 45, Cromwell Rd., London S.W.7, cena 5sh. 6d.)

Profesor Uniwersytetu Łódzkiego, wybitny socjolog, Józef Chałasiński w szeregu artykułów, rozrastających się w miarę polemiki z katolikami i marksistami w Kraju, postawił zagadnienie inteligencji polskiej w krzywym zwierciadle ostrej i świadomie (dla celów dyskusji) jednostronnej krytyki, co tłumaczy zresztą w przedmowie. Zapoznajmy się choć najpobieżniej z jego poglądami.

Chałasiński tworzy konstrukcję inteligenckiego ghetta, które cechują m.in. „dobre towarzystwo", „dobre wychowanie", „chęć błyszczenia", co ma oznaczać w socjologicznym języku formę „skupienia społecznego o charakterze wyspy izolowanej w obrębie większej zbiorowości" celem samoobrony przed resztą społeczeństwa. Pochodzenie inteligencji ze szlachty przy dużych różnicach co do znaczenia w społeczeństwie upatruje Chałasiński w „degradacji społeczno - politycznej, jakiej rzesze ziemiańskie podlegały na skutek politycznej katastrofy państwa i kolejnych powstań, pociągających za sobą konfiskaty majątków szlacheckich, degradacji wskutek uwłaszczenia chłopów, odbierającej ziemiaństwu władzę i znaczenie w społeczeństwie, degradacji wskutek pauperyzacji wywołanej przez przejście gospodarki folwarcznej pańszczyźnianej na kapitalistyczną". „To jest ogromny kompleks faktów, które należy wziąć pod uwagę, rozpatrując strukturę polskiej inteligencji. Inteligencja polska kształtowała się z polskiej szlachty w procesie jej degradacji ekonomicznej, społecznej i politycznej".

W swym oskarżeniu Chałasiński posuwa się dalej, zarzucając inteligencji dążenie do zachowania elitarnego charakteru kultury umysłowej, przeznaczonej tylko dla grona wtajemniczonych. Wszelka akcja niesienia wiedzy między lud była w swoim czasie potępiana. Wiąże się to ze zjawiskiem „artystokratyzmu kultury polskiej", o czym zasadnie pisze prof. Bogdan Suchodolski w r. 1937: „nienaruszony pozostał ten arystokratyczny styl polityki kulturalnej... Jest tak oczywiście dlatego, iż żyjemy pod urokiem szlacheckiego mitu, iż kultura jest dobrem elity"...

Żeby się ograniczyć z braku miejsca tylko do wypunktowania kilku ważnych założeń (nie wszystkich) broszury Chałasińskiego, należy ogólnie zauważyć, że praca ta niewolna jest od przesady i jednostronności. Zupełnie prawie omija kapitalny udział inteligencji we wszelkich ruchach społecznych i politycznych i ogranicza się zapewne dla wywołania „wstrząsu myślowego" do surowej oceny przeszłości i do nagromadzenia wyłącznie — cieni.

Znany publicysta emigracyjny J. Ulatowski namiętnie atakuje pracę Chałasińskiego, broniąc inteligencji i przeszłości. Jak na polityka przystało przyczynę nieszczęść i wad inteligencji widzi w polityce zewnętrznej, w braku wolności politycznej i w przeszłości i dziś.

Ulatowski uważa, że nie można podawać w pogardę sił duchowych, które prędzej czy później przejdą do przeprowadzenia polskiej woli politycznej. Wszystko musi być podporządkowane celowi nadrzędnemu — niepodległości. Nie czas na zmianę psychiki inteligenta, żądaną przez Chałasińskiego, który napisał: „Polska nigdy nie przeszła rewolucji techniczno-gospodarczej i społecznej okresu kapitalizmu, która by przeorała duchową strukturę dominujących warstw społecznych". Nie ma warunków na ten rozwój, zauważa Ulatowski, bo „klimat" polityczny nie sprzyja rozwojowi tych warstw. Nie ma wolności.

Publicysta emigracyjny domaga się, by „na dalszą metę stworzyć system wychowania narodowego, który wydałby pokolenie, pozbawione wad, jakie tylu poprzednim pokoleniom uniemożliwiły spełnienie ich zadań". Na krótką metę — musimy uzbroić się w „poczucie odpowiedzialności, wytrwałości, przebiegłości". Autor uważa, że zamiast sztucznej koncepcji ghetta inteligenckiego, należałoby „napisać analizę polskich złudzeń i dociec, jakim kalectwem psychicznym tłumaczy się to nieustannie polskie „byczo jest" i „jakoś to będzie"...

Chałasiński dał zaczątek poważnej pracy nad zagadnieniem pochodzenia inteligencji, Ulatowski poszedł drogą politycznego wejrzenia, pełną kontrastów i nie wolną od goryczy. Broszura — dwugłos nie wyczerpuje i nie wyjaśnia zagadnienia. Ton polemiczny pracy Chałasińskiego obniża wartość szkicu i zaciera jasność myśli. Jednostronność ujęcia prowadzi obu autorów do nie zawsze trafnych wniosków, ale w sumie jest to broszura, pobudzająca swym przeciwstawnym stanowiskiem do zajęcia się zagadnieniem, do jego przetrawienia, a zdaje się, że to jest najważniejsze.

Żeby iść naprzód, trzeba uporządkować bagaż przeszłości i utorować drogę.

BOGDAN ZNOWSKI

„Święto Wiosny"

(*KORESPONDENCJA WŁASNA*)

Koło SPK Nr. 379 „Lew" powstało prawie rok temu przy 17. Lwowskim Batalionie Strzelców, jeszcze na terenie Włoch, i ma za sobą dość znaczny dorobek na polu pracy społecznej.

W maju br. Koło (obecnie przy 517 Oddziale PKPR) przybyło do hrabstwa Devon, a ściśle mówiąc do obozu Holne Park koło Ashburton. Ludność miejscowa jest bardzo dobrze ustosunkowana do Polaków, co stanowi doskonałe podłoże dla zbliżenia kulturalnego.

Na okazję nie trzeba było zbyt długo czekać. Mieszkańcy Ashburtonu rok rocznie, od najdawniejszych czasów, organizują w pierwszej połowie czerwca tradycyjne „Święto Wiosny", na którego program składają się tańce narodowe w strojach historycznych, pokazy młodzieży szkolnej, przepiękna ceremonia wyboru „Królowej Święta", śpiewy zespołowe i solowe, przedstawienia, występy orkiestry i wreszcie wszelkiego rodzaju imprezy sportowe.

W tym roku „Święto Wiosny" w Ashburton przypadło na pierwszą połowę czerwca. Zarząd Koła nawiązał bliski kontakt z organizatorami brytyjskimi i na ich prośbę postanowił dołączyć się z kilku piosenkami polskimi w wykonaniu Chóru Kombatanckiego oraz — solowym.

To wszystko poprzedziło szczęśliwy pomysł zaproszenia na występ znanej naszej śpiewaczki p. Toli Korian.

Dzień 10 czerwca br., w którym odbył się koncert polskiej śpiewaczki, na pewno pozostanie na długo w pamięci mieszkańców Ashburton. W wypełnionym ponad granice możliwości przez publiczność angielską i polską — Town Hallu p. Tola Korian z wspaniałym talentem i wdziękiem odśpiewała cały szereg polskich pieśni, poprzedzając je komentarzem w języku angielskim. Komentarz ten, jak również mistrzowska inscenizacja wykonywanych przez artystkę pieśni — uczyniły to, że publiczność brytyjska nie znając polskiego języka doskonale zrozumiała treść utworów.

Reakcja widowni była żywiołowa i gorąca. Publiczność brytyjska po każdym wykonanym utworze wyrażała swe zadowolenie i reagowała w sposób przypominający zachowanie się tak dobrze znanej nam z dużego wyrobienia artystycznego publiczności włoskiej. Oklaskom i owacjom nie było końca. Śpiewaczkę wzywano kilkakrotnie zza sceny i żądano pieśni nadprogramowych.

Z bogatego repertuaru najbardziej przypadło do gustu widowni opowiadanie Kraszewskiego z muzyką Moniuszki, pt. „Dziad i baba" oraz utwór Niewiadomskiego „Zaloty". W obu tych utworach kunszt artystyczny p. Korian wystąpił w całej swej pełni i krasie. Również z wielkim talentem został oddany utwór Chopina „Gdybym ja miała" oraz szereg innych pieśni, jak „Strach" i „Ideały". W języku włoskim, artystka odśpiewała bardzo melodyjną piosnkę „Susanna".

Również na wysokim poziomie był akompaniament fortepianowy.

Wieczór ten niewątpliwie w dużej mierze przyczynił się do zacieśnienia przyjaźni polsko-brytyjskiej oraz do wzajemnego poznania się na płaszczyźnie kulturalnej. Sprawę tę doskonale zresztą ujął burmistrz miasta Ashburton w swoim przemówieniu na zakończenie tego wieczoru. Serdecznie podziękował p. Korian za piękny występ oraz podkreślił znaczenie tego wieczoru dla zbliżenia polsko-angielskiego.

Holne Park Camp,
nr. Ashburton, Devon

EDWARD JURKOJĆ

Czekamy na inicjatywę

(*KORESPONDENCJA WŁASNA*)

Od kilku tygodni trwa u nas wzmożona akcja przechodzenia do cywila. Coraz więcej ludzi chowa mundury wojskowe, nakłada kombinezony robocze i idzie w obce środowiska, by budować swoją przyszłość.

Wielu jest zadowolonych. Piszą do obozu listy, w których na ogół nie narzekają ani na warunki pracy, ani na zarobki. Stosunki z Anglikami układają się pomyślnie. Prawie wszędzie miejscowi katolicy są dużą pomocą.

Nie zawsze jednak i ze wszystkim jest tak dobrze.

Prawem korespondenta przytoczę tu kilka konkretnych przykładów, które mówią same za siebie.

Kpr. K. pracuje już czwarty tydzień w miejscowym garażu jako mechanik samochodowy. Jest specjalistą i pracodawca bardzo chwali sobie jego robotę. Niestety, okazuje się, że wkrótce przychodzi zdemobilizowany Anglik i kpr. K. będzie musiał odstąpić mu miejsce.

Strz. S. odszedł do rezerwy "W" w drugiej połowie kwietnia, zgłaszając się do górnictwa. Odbył przeszkolenie i ... odesłano go do "Holding Unit", gdzie czeka na zapotrzebowanie do kopalni. Obowiązuje go statut bezrobotnego. Otrzymuje 30 sh. tygodniowo, z czego 25 sh. płaci za utrzymanie w obozie. Jak długo ten stan potrwa nie wiadomo i nikt, włącznie z oficjalnymi czynnikami brytyjskimi, nie może mu pomóc.

Sierż. G. otrzymał pracę jako pomocnik kierownika hostelu. Został przeniesiony do rezerwy "W" i odszedł na miejsce swego zatrudnienia. Po kilku dniach wrócił. Okazało się, że zaszła pomyłka... bo hostel został przeznaczony dla robotników — Bałtów przywiezionych z Niemiec. Polak z PKPR nie może być pomocnikiem kierownika hostelu, gdzie będą mieszkać Bałtowie.

Plut. K. zgłosił się do górnictwa. Po tygodniu przeszkolenia stwierdzono, że jego kondycja fizyczna nie odpowiada wymogom tego ciężkiego zawodu. Wrócił do obozu i obowiązuje go statut bezrobotnego. Należy dodać, że ma żonę na utrzymaniu. Znowu żaden z czynników oficjalnych nic pomóc nie może.

A teraz z innej trochę dziedziny.

Kpt. Z. jest inżynierem—leśnikiem. Składał kilkakrotnie oferty poszukując zajęcia w swoim zawodzie. Wszędzie odmówiono w bardzo grzecznej formie, żałując, że nie jest obywatelem brytyjskim.

Pchor. W. złożył już kilkadziesiąt próśb i podań o zatrudnienie go w jego zawodzie, lub w takim, któryby choć w najmniejszym stopniu odpowiadał jego wykształceniu, zdrowiu i znajomości języka angielskiego. Wszędzie żałowano, że nie jest obywatelem brytyjskim, a przedstawiciel Min. Pracy ofiarowuje mu tylko zajęcia w górnictwie, na farmach, lub przy budowie dróg w lesie.

Oto konkretne fakty. Jak widać nie wszystko jest w porządku. W bardzo wielu wypadkach Anglicy stosują wobec nas zasady polityki kolonialnej. Z drugiej strony istnieje nacisk, by jak najprędzej i jak najliczniej iść do pracy. Codziennie Londyn zarzuca obozy tonnami rozkazów, rozdzielników i komunikatów, które nie zawsze idą w parze z praktyką, a w wielu wypadkach nadają się tylko na makulaturę. Inaczej wyglądają sprawy przy wygodnych biurkach urzędów i w zaciszu gabinetów.

W chwili, gdy piszę te słowa, w Londynie odbywa się Walny Zjazd SPK. Czekamy niecierpliwie na wyniki. Już czas najwyższy skończyć dyskusje na temat form i statutów, trzeba zaczynać akcję w terenie. Z przytoczonych przeze mnie wypadków wynika, że organizacja musi zainteresować się terenem. Nikt inny, a tylko silna, liczna i dobrze kierowana organizacja może stawać w obronie interesów szerokich mas kombatanckich.

Mamy pełne prawo, by w to wierzyć. Mamy prawo czekać na inicjatywę. Oby tylko życie nie wyprzedziło startu do tej działalności, tak jak wyprzedza okólniki i rozkazy wychodzące z londyńskich inspektoratów.

Już czas najwyższy, by zacząć, bo może być zbyt późno.

Belford, Anglia, w czerwcu.

TADEUSZ CHRUŚCIEL

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Grescent, Edinburgh.

UWAGA — ZAKŁADAJĄCY WARSZTAT KRAWIECKI!

Zakładający warsztat krawiecki — członek SPK może otrzymać dwie maszyny krawieckie oraz inny sprzęt warsztatowy na spłaty. Pod uwagę brane będą tylko poważne zgłoszenia, z możliwościami na otwarcie warsztatu (permit). Referencje wymagane. Zgłoszenia: Koło SPK 215, Addeley Hall nr Market, Drayton, Shropshire.

* * *

WOLNE POSADY

Fabryka papieru potrzebuje około 30 robotników niewykwalifikowanych. Płace od £ 4.18 do £ 6.— tygodniowo. Ilość godzin pracy w tygodniu: 40 do 49. Mieszkanie może być zapewnione w hostelu. Zgłoszenia należy kierować do: CELOTEX Ltd., Beresford, Ave., Wembley, London, w języku angielskim.

PRACA DLA ROBOTNIKÓW BUDOWLANYCH

Na terenie Wielkiego Londynu są możliwości dla zatrudnienia murarzy, pełno i pół-wykwalifikowanych, tynkowników-sztukatorów. Płaca 2 s. 6 d. i wyżej, zależnie od kwalifikacji, za godzinę. Niewykwalifikowani 2 s. 1 d. za godzinę. Są możliwości ułatwienia w znalezieniu mieszkania.

Redaguje: Wydział prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

D. N. P. B. S. Q.

Kiedy wlazłeś między wrony . . .

Normalnie, prawie na całym świecie Bożym, rozróżniamy l.mn. od poj. za pomocą końcówki, w języku zaś angielskim trafia się l.mn., utworzona w drodze zmiany samogłoski albo dwugłoski w środku, wewnątrz, w samym łonie czy zgoła w trzewiach rzeczownika. Np. ,,ząb" znaczy ,,*tooth*", ale ,,zęby" są ,,*teeth*", czyli końcówka -th pozostaje bez zmiany, podczas gdy na miejsce jednej kombinacji dwóch liter — oo wdziera się kombinacja zupełnie inna, mianowicie -ee. ,,*And he has such lovely teeth as good as false ones*!" (I on ma takie piękne zęby, zupełnie jak fałszywe!).

Pamiętajmy jednak, że kupujemy ,,*tooth-paste*" (pasta do zębów) i ,,*tooth-brush*" (szczotka do zębów), choć z formy wynikałoby, że jest to właściwie pasta i szczotka do jednego zęba. Podobnie skarżymy się na ,,*tooth-ache*", czyli na ból pojedynczego, samotnego zęba, choć w danym wypadku mogą nas okropnie boleć wszystkie, więc np. dwadzieścia zębów. Powiada wielki poeta, Szekspir, w ,,Kupcu weneckim":

,,For there was never yet philosopher
That could endure the toothache patiently".

(Bo jeszcze nigdy nie było filozofa, który by mógł znosić cierpliwie ból zębów).

Uważasz, drogi A. (wprowadzam ten skrót, zamiast całego ,,Adama"). Ledwośmy zaczęli się uczyć, a już karmię cię Szekspirem! Lecz walmy dalej! Podobnie powstaje l.mn. przez zmianę samogłoski lub dwugłoski w samych wnętrznościach, we flakach takich rzeczowników, jak ,,*foot-feet*" (stopa,y), ,,*goose-geese*" (gęś,si), ,,*louse-lice*" (wesz-wszy), ,,*mouse-mice*" (mysz,y), przy czym i wesz-*louse* i mysz-*mouse*, zmieniają w pisowni dodatkowo spółgłoskę -s na -c. ,,*Man-men*" (człowiek-ludzie), ,,*woman-women*" (kobieta,y), przy czym u kobiety zmienia się także wymowa, gdyż w liczbie poj. wymawiamy ,,o", jako ,,u", w l.mn. to samo ,,o" jako ,,uj". Podobnie po polsku ,,Uj, kobietki".

Narodowość określamy, mówiąc np. albo ,,*the English*" albo ,,*Englishmen*" (Anglicy). W pierwszym wypadku występuje przymiotnik, pisany przez odpowiednio dużą literę, w drugim jest nazwa, złożona z przymiotnika i rzeczownika ,,*men*" lub ,,*women*", czyli ,,*Englishmen*" oznacza dosłownie ,,angielskich mężczyzn", ,,*Frenchwoman*' — ,,francuską kobietę". ,,*You can meet elegant and accessible Frenchwomen at any time*" (Może pan spotkać o każdej porze eleganckie i przystępne Francuzki).

Dr A. mówiąc o sobie samym, użyj zwrotu ,,*I am Polish*", przy czym, gdy mówimy o narodzie jako o całości, tj. o wszystkich mężczyznach, kobietach i dzieciach, stosujemy przymiotnik ,,*the French*". ,,*the Polish*" itd. ,,*There were barracks for the Polish, where ruled an almost aggresive neatness and spirit of voluntary discipline, carried out in defiance of the Germans . . . where, as in a private house it was forbidden to wear one's cap*" (Były tam baraki dla Polaków, w których panowała jakaś niemal wyzywająca czystość i duch dobrowolnej dyscypliny na złość Niemcom . . . gdzie, jak w prywatnym domu, było zakazane chodzić w czapce) — z książki ,,*A Prisoner in Germany*" Jeniec w Niemczech (R. Guerlain'a).

N.b. Polak dawniej nazywał się po angielsku inaczej, gdyż w XVI i XVII wieku zwano go ,,*Polander*" albo, jak u Szekspira ,,*Polack*". Przy sposobności zaznaczam, że język angielski, przynajmniej do czasu tej wojny, nie wchłonął żadnych słów polskich. Wyjątek stanowi ,,*the pole*", które znaczy ,,pole, równina". Słowo to dostało się do angielszczyzny za pośrednictwem niemieckim, równie jak ,,*a Pole*"-Polak. Polskiego pochodzenia jest również ,,*the hetman*", choć to słowo jest raczej niemieckie (*Hauptman*), a zawędrowało do nas poprzez Czechy.

Nazwy niektórych, i to nawet wielkich, narodów, występujące w połączeniu z liczebnikami mają tę samą formę l.poj. i l.mn. Np. *A Chinese, three Chinese people, a Portuguese, four Portuguese people, one thousand Swiss people, some Dutch people* (jeden Chińczyk, trzech Chińczyków*), jeden Portugalczyk, czterech Portugalczyków, tysiąc Szwajcarów, kilku Holendrów). ,,. . . *an atomic bomb was dropped on Hiroshima. As a direct result, some 60.000 Japanese men, women and children were killed, and 100.000 injured*" (. . . bomba atomowa została zrzucona na Hiroshimę. Jako bezpośredni skutek, około 60.000 japońskich mężczyzn, kobiet i dzieci zostało zabitych a 100.000 rannych — z książki ,,Hiroshima" J. Hersey'a. ,,Japanese" użyte w znaczeniu przymiotnikowym.

Mimochodem należy zaznaczyć, że słowo ,,*china*", pisane przez małą literę, oznacza nie Chiny, ale porcelanę. Pewien literat polski przetłumaczył wyrażenie ,,*china-shop*", jako sklep chiński, podczas gdy była mowa o sklepie z porcelaną. Mała różnica.

Świnia — dlaczego, nie umiem powiedzieć — zachowuje tę samą formę w l.poj. co i w l.mn., zatem ,,*swine-swine*". Może działa tu jej przysłowiowe niechlujstwo i zupełna obojętność, jeśli idzie o wygląd zewnętrzny, chociaż inne stworzenia, i to lubiące wodę, jak np. ryba w ogóle (*fish*), łosoś (*salmon*), pstrąg (*trout*), tudzież jeleń (*deer*), owca (*sheep*) mają także jednakową formę w obu liczbach, ale poecie czy literatowi wolno użyć formy ,,*fishes*", więc np. Thackeray, opisując specjalność kuchni marsylskiej, śpiewa:

,,This Bouillabaisse a noble dish is-
A sort of soup, or broth, or brew,
Or hotch-potch of all sort of fishes . . ."

(Ta Bouillabaisse to szlachetna potrawa — coś jakby zupa lub rosół lub wywar lub bigos ze wszystkich gatunków ryb . . .")

Jeszcze jeden klasyczny przykład na l.poj. i mn. z zakresu kuchni: ,,*A few oysters first, and then dried salmon, and then ham and eggs, done in small curled rashers, and then a few collops of venison toasted, and next a little cold roast pig, and a woodcock on toast to finish with*" (Najpierw trochę ostryg, następnie wędzony łosoś, następnie szynka i jaja, podana w małych, zwiniętych płatkach, następnie trochę przypiekanych zrazów z dziczyzny, zaraz potem na zimno, prosię pieczone i na zakończenie słonka na grzance (z powieści ,,*Lorna Doone*" R.D. Blackmore'a. Aż ślinka idzie do ust!)

Zdziwi cię, dr A., słowo ,,*news*", które byłbyś skłonny posądzać o liczbę mnogą, gdyż na nią zdaje się wskazywać końcówka -s, a jednak ,,*news*" (nowiny, wiadomości) spotykamy wyłącznie w formie l.poj. *Speaker* radia zaczyna zawsze od nieśmiertelnej formuły ,,*Good morning everybody. This is the eight o' clock news . . . It will be very cold to-day . . .*" (Dzień dobry wszystkim. Oto wiadomości o ósmej . . . Dziś będzie bardzo zimno . . .)

Podobnie ,,*information*" (informacja,e), podobnie ,,*progress*" (postęp), ,,*advice*" (rada, wskazówka), podobnie ,,*furniture*" (meble) występują zawsze w formie l.poj. ,,*No furniture is so charming as books, even if you never open them or read a single word*" (Nie ma mebli tak pięknych jak książki, nawet gdy ich nigdy nie otwierasz i nie czytasz ani jednego słowa — sentencja Sydney Smith'a).

Pewne rzeczowniki występują, jak w wielu innych językach, tylko w l.mn., oznaczając rzecz, złożoną z dwu, o ile możności, równych części: ,,*trousers*" i ,,*breeches*" (spodnie), ,,*pants*, (kalesony), *braces*" (szelki), ,,*scissors*" (nożyczki), ,,*spectacles*" (okulary) itd. ,,*John, after having lost his last pair of trousers in the greyhound races, cut his throat with the scissors and hanged himelf on his own braces*" (John, przegrawszy ostatnią parę spodni na wyścigach psich, poderżnął sobie gardło nożycami i powiesił się na własnych szelkach).

Nazwy niektórych chorób mają tylko l.mn., może dla zaznaczenia, że nieszczęście zawsze idzie w parze. ,,*We had been down with the measles, and they had just got over scarlet fever*" (Myśmy byli po odrze, oni zaś świeżo przeszli szkarlatynę — z książki ,,*Cape of Good Hope*" Z. Nowakowskiego). Także i nazwy pewnych gier, więc ,,*billiards*", ,,*amusements*" występują tylko w l.mn., której używamy również, mówiąc o towarach (,,*goods*"), o podziękowaniu (,,*thanks*"), o owsie (,,*oats*"), podczas gdy po polsku możemy stosować obie formy, więc ,,piękny owies" i ,,piękne owsy".

We wspaniałych parkach angielskich zdziwi cię, dr A., napis ,,*The public are requested to keep off the grass*" (Publiczność proszona są o trzymanie się zdala od trawy). Także i ,,*government*" (rząd) nie jest ale są. W jednej ze swych słynnych mów rzekł Winston Churchill: ,,*The Russian Government were so good . . .* (rząd rosyjski byli tak uprzejmi...) Dla naszych uszu brzmi to zupełnie, jak zdanie: ,,Tata pośli do korcmy".

Jest rzeczą ciekawą, że w starszym języku polskim występuje także liczba mnoga czasownika w podobnej okazji. Np. znajdujemy u Kitowicza zdanie: ,,Pieczęć nie zawsze posiadali szlachta...", albo ,,Towarzystwo husarskie... używali dzid", ale także i dzisiaj mówimy ,,wujostwo przyszli", państwo Kowalscy chcieli" itp.

A teraz, na zakończenie rozdziału, weźmiemy przykład właśnie z jednej z mów b. premiera Wielkiej Brytanii: *Old men, little children, the crippled, the veterans of former wars, aged women, the ordinary hard-pressed citizen, the sturdy workman with his hammer in the shipyard or who loads the ships, and the skilful craftsman, the members of every kind of RAF services, are proud to feel that they stand in the line together with our fighting men when one of the greatest causes is being fought out...* (Ludzie starzy, małe dzieci, kaleki, weterani poprzednich wojen, wiekowe kobiety, zwykły, ciężką pracą przytłoczony obywatel, krzepki robociarz ze swym młotem w stoczni albo ten, który ładuje okręty, i wykwalifikowany robotnik, członkowie wszelakiej obsługi Królewskich Sił Powietrznych, są dumni z tego, że czują, iż stoją w szeregu razem z bojownikami naszymi, gdy toczy się walka o jedną z największych spraw . . . Przemówienie radiowe z 27 kwietnia 1941 roku).

Męczyłem się długo, by znaleźć przykład, w którym występuje tyle rozmaitych form l.mn. A dlaczego są tak rozmaite? Dlaczego ich tak wiele? Odpowiem ci, dr. A., krótko: ,,*D.N.P.B.S.Q.!*" (1)

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

*) Mówi się także ,,three Chinamen"

1) ,,D.N.P.BS.Q.!" jest skrótem zastępującym zdanie, wyrażone w trybie rozkazującym ,,Do not put bloody silly questions!" (Nie stawiaj głupich za... pytań!)

Wystawa polska w Edynburgu

Planowa wystawa sztuki polskiej w okresie Międzynarodowego Festiwalu Muzycznego w Edynburgu dochodzi do skutku. W związku z tym komitet Wystawy zwraca się do polskich artystów-plastyków z prośbą o nadesłanie możliwie jak najszybsze, nie późniejsze w każdym razie, jak do 10 lipca 1947 swych obecnych adresów celem otrzymania indywidualnych zaproszeń do wzięcia udziału w Wystawie. Podczas trwania Festiwalu będzie istniała znacznie większa możliwość sprzedaży obrazów i wyrobów artystycznych, aniżeli w okresach wystaw organizowanych niezależnie od imprez międzynarodowych typu Festiwalu edynburskiego.

Jednocześnie Komitet wystawowy apeluje z gorącą prośbą do wszystkich polskich instytucji oraz osób prywatnych posiadających w swych zbiorach dzieła polskich artystów — malarzy, rzeźbiarzy, lub grafików o podanie swych adresów oraz danych o posiadanych dziełach w celu ewentualnego wypożyczenia ich na Wystawę. Chodzi szczególnie o dzieła artystów XIX wieku, artystów zmarłych w wieku XX oraz tych, którzy nie mogą odesłać swych prac, gdyż przebywają obecnie w Kraju.

Wszelką korespondencję kierować należy pod adresem — Zygmunt Nagórski, 43, Charlotte Square, Edinburgh.

Artyści mówią prawdę

Nie znam się na malarstwie. Wiem jednak, że szukanie treści literackiej w plastyce nie jest właściwe, a dla znawców wręcz skandaliczne. Mam jednak zamiar popełnić ten właśnie skandal: pisać o literackiej treści obrazów.

Przyczyną tej śmiałości jest r o d z a j treści pozaplastycznej obrazów młodego malarza, o których chcę mówić, oraz z b i e ż n o ś ć tej treści z treścią kilku książek, budzących dziś zainteresowanie licznych czytelników.

Siedemnastoletni lwowiak, Stefan Knapp, uczył się spokojnie, mieszkając w domu z rodziną, jak — swego czasu — każdy z nas. Tragiczny Wrzesień uderzył w to zwykłe życie, jak w życie każdego Polaka. Zanim minęło pierwsze ogłuszenie, chłopak jechał już na Wschód, stłamszony w bydlęcym pociągu, wraz z tysiącami innych lwowiaków, wszelkiego wieku i stanu. Ocknął się w Chersoniu.

— Wepchnięto nas kilku — opowiada — do izby czarnej od ludzi i zagęszczonej smrodem. Nie spodziewaliśmy się, że czeka nas od razu w drzwiach egzamin z wytrzymałości fizycznej i nerwowej. Czyjeś pięści wylądowały na naszych głowach. Odruchowo, instynktownie, natychmiast odpowiedziałem ciosem buta w brzuch. Dostałem za to pomruk uznania i ,,dobry" kąt. Kto się przewrócił, jęknął, zdziwił, czy w ogóle pozwolił zrobić z siebie ofiarę — musiał się zadowolić położeniem własnej głowy koło wspólnej ,,paraszy".

Taka była pierwsza lekcja nowego życia. Po tym ,,zwykły" szlak: najdalsza Północ, najdalszy Wschód. Z wagonów do więzienia, lub do innego pociągu należało wyskakiwać ,,w kucki" i w tej samej przykucniętej pozycji ,,iść" — nieraz parę kilometrów. Dokoła s t r i e ł k i i psy. Komu zemdleją mięśnie, kto spróbuje wyprostować się w tym niesamowitym marszu: kula w łeb. Oto druga lekcja życia.

W jednym z wagonów umiera niemowlę, niepojone pięć dni. Co począć ze zwłokami? Matka trzyma je przy piersi, nie pozwala ruszyć. Na dworze żar. ,,Wyrzucić!" — błagają towarzysze podróży, zamknięci na żelazne sztaby w rozparzonym bydlęcym wagonie. Jak? przez okno. Nie można, bo okienko jak szpara i zakratowane żelazem. Nie można, ale trzeba. Więc matka zasłania oczy, a ktoś się poświęca i przepycha ciałko przez szparę w kracie, za okno. Główka nie przechodzi. Matka mdleje. Uszka dziecięce, szarpnięte o kratę — odpadają. Wprost na żywych, bo wolnej podłogi nie ma.

— Nie mogę słuchać! — przerywam, ale odrazu czuję wstyd.

— A ja musiałem patrzeć — odpowiada mi Knapp. — Ja miałem siedemnaście lat.

Na podwórzach więziennych wyrywano każde źdźbło trawy, żeby oczy, znużone elektryczną żarówką, nie odpoczywały na zieleni. Spacer był raz na dwa tygodnie, piętnaście minut. A poza tym — cóż — oklepane, osłuchane sprawy: głód, mróz, żar, wszy, tortura nieróbstwa w więzieniach, tortura przepracowania w łagrach, szkorbut, dysenteria, nostalgia, poniewierka, łachmany, brak wszystkiego, na odmianę z natrętnym ,,*u nas wsio jest*".

Wielokrotnie i nie odmiennie ,,*dawaj s wieszcziami*". Tak trzy lata.

Wreszcie — tfu — ,,amnestia". Wędrówka po całej mapie. Rewelacja polskiej armii. Wylądowanie w raju perskiego portu Pahlevi.

Pahlevi, Teheran, Palestyna, Liban, Egipt, wreszcie Włochy, a teraz Anglia — to wygrany los dwustu tysięcy Polaków. A reszta?

Z tych dwustu tysięcy — każdy opowiada. Musi opowiadać. Opowiada dosłownie, identycznie to samo. Nie wolno nie słuchać. To samo słyszałam pod namiotami Quassasinu, na rozpalonej pustyni egipskiej, gdzie co chwila witał się ktoś z Nowogródka, Pińska, Włodzimierza, czy Kowla. To samo słyszałam w polskim miasteczku Ghazir w górach Libanu, gdzie mieszka 526 wygnańców z Wilna; to samo opowiada trzystu polskich studentów w Bejrucie, to samo pięćset dziewcząt w gimnazjum polskim w Nazarecie. To samo junacy w Barbarze, to samo harcerze w Jerozolimie, to samo chorzy w szpitalu nad Suezem. Czy inaczej mówili żołnierze we Włoszech? Tysiące ich. Tysiące.

To samo — więc już nie można słuchać. To samo — więc słuchać trzeba. Trzeba, bo to już historia Polski, skoro to los miliona.

Ale wśród tłumu udręczonych — czasem odzywa się a r t y s t a. Wtedy litania skarg, czy rejestracja krzywd bez miary, bez sensu i bez zemsty — wzbiera dźwiękiem i barwą sztuki. Doskonała poetka daje pamiętnik ,,W domu niewoli", Naglerowa ożywia ,,Ludzi sponiewieranych". Anonimowa autorka polska pisze po angielsku niezwykłą książkę, szeroko na świecie czytaną, opartą na setkach dokumentów: ,,*The dark side of the moon*" (Ciemna strona księżyca) — arcydzieło zwartości i opanowania; książkę epicką, bez wykrzykników, z odważnym uśmiechem na zaciśniętych zębach.

Wkrótce po nich, Stefan Knapp, który już zdążył pięknie zrobić kolejkę bojową w 318-tym dywizjonie lotnictwa polskiego we Włoszech — zaczyna opowiadać barwą i kształtem o piekle przebytym w Sowietach. ,,Rośnie polski Van Gogh" — mówią znawcy. ,,My już nie możemy go niczego nauczyć" — uśmiechają się profesorowie londyńskiej szkoły sztuk pięknych.

Na otwarciu wystawy (przed kilku tygodniami) obcy malarze kiwali głową, poszeptując z uznaniem: ,,*admirable colouring*" (zadziwiający kolor). — Czy tylko tyle? — miałam ochotę zapytać. Ale laikowi nie wypada wtrącać się do rozmowy znawców. Już rozumiem: to nie krew, nie pot, nie łzy, to — ,,*admirable colouring*". Ten naiwny i wiekuisty szkielecik dziecka, to nie Jurek z ,,Rodziny Korzeniewskich"; ta głowa kobieca, patrząca w dno piekieł to nie moja, twoja i nasza siostra, zamęczona w Kazachstanie czy Komi — to po prostu ,,*very skillful lines*" (linie kładzione z wielkim talentem).

,,*Great artist*" (wielki artysta) — zachwala właściciel galerii, starszy, poważny Anglik, który swego klienta nie traktuje jako sensacyjny towar do eksploatowania, tylko serdecznie, po ludzku, po bratersku. Od młodego stypendysty nie wziął zapłaty za użytkowanie galerii, choć wystawa trwać będzie cały miesiąc. Płacą mu tylko tacy malarze, którzy wystawiają kicze, prawdziwy artysta ma salę darmo. — ,,Cieszę się — powiada — że Stephan to namalował i wreszcie wyzwoli się od tych przeżyć. *He will return to the sunshine now* (wróci teraz do słońca)".

Wielu czytało ,,*The dark side of the moon*", niejeden zauważył w majowym ,,*Reader's Digest*" skrót książki Davida Dallina i Borysa Nikołajewskiego, która wkrótce ukaże się w Ameryce: ,,*Nothing, but their chains*" (Nic, tylko ich okowy), nazwana ,,prawdą o czternastu milionach niewolników w Sowietach". Patrząc na obrazy Knappa, chciałoby się zapytać: czy to ilustracje do tych książek? Nie, malarz nie czytał tych książek, może nawet nie wie o nich. Po prostu wyraził to samo kształtem i barwą. To samo, co przeżyło milion dwieście Polaków. To samo, co dziś jeszcze przeżywa czternaście milionów istot ludzkich.

Artyści — choć inaczej — mówią wszyscy to samo, co szary człowiek: prawdę.

STANISŁAWA KUSZELEWSKA

SZCZYPTA HYPTA

1 : 30.000.000

Cała prasa szalała,
z Dovre'u do Prestwick'u
jadąc na ulubionym
przez siebie koniku:

„Polish gunman” w teatrze,
to znów w gąszczu lasu,
rekordowy „fugitive”
od dłuższego czasu.

Samochodem ucieka,
to znów na rowerze;
ma broń i amunicję,
— skąd to wszystko bierze?

Tu się schował przed chwilą,
tam był przed godziną:
pościg, strzały, obławy —
on pościg ominął . . .

Helikopter, zasadzki,
„stool-pigeons”, wywiady, —
— blisko miesiąc nie mogły
sobie z nim dać rady.

Aż wreszcie go capnięto,
spokojnie, bez strzału —
— i wszystko znów do normy
wracało pomału.

* * *

Piszę to sprawozdanie
z pewnym opóźnieniem,
bo dotychczas zajęty
byłem obliczeniem.

Obliczeniem, z którego
jak na dłoni widać,
jak bardzo jeden żołnierz
może się nam „przydać”!

Wszak o nim w trzy tygodnie
napisano tyle,
co w sześć lat o nas wszystkich
(nie, ja się nie mylę),

Co o Monte Cassino,
Falaise i Warszawie . . .
Nareszcie w Anglii piszą
coś o polskiej sprawie!

Jedno tylko w tym wszystkim
naprawdę mnie boli:
jeśli tyle o jednym,
co uciekł z niewoli —

Czemu tak mało ciągle
tu Anglicy wiedzą
o trzydziestu milionach,
co w niewoli . . . siedzą??

J. HYPT

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Bardzo was przepraszam za dwutygodniową przerwę w moich oracjach, ale nie moja to była wina. Wszedłem bowiem w życie polityczne emigracji czyli przestałem działać. Nie byłem w stanie napisać mojej cotygodniowej mowy, gdyż po prostu porwany wirem życia politycznego — jak wielu innych — przestałem myśleć. Co robiłem? Zaraz odpowiem.

Przede wszystkim mimo woli stałem się przedmiotem rozgrywek: mianowicie biły się o pozyskanie mojej osoby do składu przyszłego rządu na uchodźstwie trzy partie: Partia P i p k i e w i c z a, partia P o p k i e w i c z a i partia P a p k i e w i c z a. Pipkiewicz ciągnął na lewo; Popkiewicz grawitował na prawo, a Papkiewicz wyznawał ideologię centrum.

Zanim zorientowałem się w szlachetnych zamiarach tych czołowych przodowników życia politycznego upłynął poniedziałek. We wtorek Papkiewicz wysunął mnie jako mediatora pomiędzy Pipkiewiczem a Papkiewiczem. We środę leżałem w łóżku po ciężkim uszkodzeniu pewnej części ciała. Wieczorem tego dnia odwiedził mnie Papkiewicz i oświadczył, że tworzy rząd sam, wydając walkę Pipkiewiczowi i Popkiewiczowi. W tym rządzie miałem dostać tekę propagandy. Narazie dostałem migreny.

W czwartek rano Pipkiewicz i Popkiewicz pogodzili się między sobą i postawili Papkiewicza wobec gotowego faktu: dwie partie z lewa i z prawa wystawiły centrum Papkiewicza do wiatru. Moja teka przepadła z kretesem — migrena została.

Papkiewicz jednak nie dał za wygraną! Pozyskał do współpracy nową partię polityczną „P r z e k o r n y c h”, oraz zapewnił sobie poparcie nowej potężnej organizacji emigracyjnej „Z r z e s z e n i a S t o ł o w n i k ó w P o l s k i c h J a d ł o d a j n i w L o n d y n i e”.

„Przekorni” za obietnicę dwóch tek w rządzie, „Stołownicy” za obietnicę skromnej subwencji rządowej dla poprawienia gatunku zupy grochowej w jadłodajniach, rozpętali w imieniu narodu taką orgię intryg i plotek pomiędzy lewicą a prawicą, że w piątek po południu koalicja Pipkiewicza i Popkiewicza pękła jak para fałszowanych „Nylonów”. Tego samego dnia wieczorem na arenę wystąpił Papkiewicz ze mną i z gromadą „Przekornych”. Oblaliśmy to zdarzenie w jednym z polskich lokali gastronomiczno - astronomicznych (ze względu na ceny!).

Tej nocy pierwszy raz pod latarnią powiedziałem do Papkiewicza: „Panie Prezesie”. Czułem, że go to mile połechtało. W łóżku zaś sam do siebie szepnąłem z zamkniętymi oczyma: „D o b r a n o c p a n i e m i n i s t r z e Ż ą d e ł k o”.

W sobotę rano zbudził mnie głośny płacz Papkiewicza, który siedział na progu przed drzwiami mego flatu i tłukł sobie na głowie butelki z mlekiem porannym. Cóż się okazało? „Przekorni” postanowili skorzystać z okazji złapania rządów emigracyjnych w swoje ręce, obietnicą nie tylko poprawy zupy, ale gatunku bigosu pozyskali względy „Zrzeszenia Stołowników Polskich Jadłodajni w Londynie” i wywalili Papkiewicza na mordę w czasie układania listy koalicji rządowej.

W ten sposób narodził się w sobotę rano rząd „Przekornych” i „Stołowników”. Znowu Papkiewicz był na lodzie. A w dodatku jadłodajnia, w której oblewaliśmy wczoraj nasz nowy gabinet przysłała Papkiewiczowi taki słony rachunek, że co najmniej będzie albo rok płacił, albo sześć miesięcy siedział.

Narazie Papkiewicz siedział na moim łóżku i nakreślał plan działania: łączymy się z Pipkiewiczem i Popkiewiczem przeciw „Przekornym” i „Stołownikom”. Po południu tego samego dnia siedziałem już na „afternoon tea” u Lyonsa na pierwszym nieoficjalnym zebraniu rządu jedności Pap—Pop—Pip—kiewiczowskiej.

Patrząc z prawdziwym rozrzewnieniem na tych trzech, pełnych poświęcenia, godności i miłości ojczyzny mężów — z dumą gładziłem jeszcze tak niedawno pobitą część mojego ciała, którą niebacznie zaangażowałem w doniosłej sprawie pogodzenia tej szlachetnej trójki.

W czasie herbaty u Lyonsa, pomiędzy jednym „ciastkiem” a drugim Papkiewicz szeptem referował kampanię wykończenia „Przekornych”, Popkiewicz przedstawił memoriał w sprawie zniszczenia „Zrzeszenia Stołowników”, a Pipkiewicz nakreślił ogólne wytyczne w sprawie zniszczenia wszystkich przeciwników politycznych, którzy ośmielą się nie uznać rządu jedności Pap—Pip—Pop—kiewiczowskiej.

Gdy oddano mi głos jako ministrowi bez teki (bo tekę propagandy zabrał mi w ostatniej chwili ambitny Popkiewicz) złożyłem oświadczenie solidarności i lojalności, po czym odśpiewaliśmy na cztery głosy: „Choć burza huczy w koło nas”. Sprawa rządu była uratowana.

Potem poszliśmy (dla podkreślenia istoty walki z jadłodajniami polskimi —) na kolację do „Chińskiej”. Zebranie rozwiązało się nad ranem. Emigracja, która o tej nocnej porze spała w sobotę mogła spać dalej spokojnie. „Rząd” czuwał!... Ale to była sobota. Piękna sobota!

W niedzielę rano zbudziło mnie gwałtowne ściągnięcie kołdry. Nad moim łóżkiem stała delegacja „Przekornych” z reprezentacją „Zrzeszenia Stołowników”. Wciśnięto mi do ręki pióro i zażądano podpisania rezygnacji z mojej kandydatury na ministra bez teki. Takie same trzy rezygnacje pokazano mi z historycznymi podpisami Papkiewicza, Pipkiewicza i Popkiewicza. Głośno śpiewając prowokacyjną piosenkę: „Trzy świnki” delegacja „Przekornych” opuściła mój pokój. Zostałem bez teki „ministra bez teki”.

Migrena przeszła w gorączkę, gorączka w grypę, grypa w niespokojny, ponury, pełen widziadeł przeszłości sen, z którego obudziłem się oblany zimnym potem emigracyjnym. I pomyślałem: chyba ten tydzień cały to była po prostu grypowa, niezdrowa śpiączka. Nic więcej.

W rzeczywistości jedna rzecz miała miejsce: nie wygłosiłem mojej tygodniowej oracji: „Na paczce od mydła” za co was nawet — po tych wyjaśnieniach — już nie przepraszam mili demokraci.

WASZ
OBYWATEL ŻĄDEŁKO

P.S. Jeżeli przyśni się Wam także podczas waszej nocy uchodźczej, wygnańczej Papkiewicz, Popkiewicz i Pipkiewicz lub jeśli we śnie nawiedzi was delegacja „Przekornych” z reprezentacją „Zrzeszenia Stołowników” przepędźcie te mary precz od siebie. Otwórzcie okna na oścież i bijcie te widma ponure czym się da: pantoflem, poduszką, butelką gumową lub nocnym naczyniem, które wasze jest.

SZARADA

Jak to *raz*-nie i jak miło,
że znów słońce zaświeciło,
że *siedem-szesnaście* w gorze
przy radosnym ptasząt chórze!
Dziewięć jedenaście, dziecię,
że tak cudnie jest na świecie:
Pięć-sześć, dni up-*wspak trzy-drugie*,
wesołe, radosne, długie!
Cztery dopiero uciecha!
gdy las niesie piosnki echa;
piętnaste-ósme się śmieją —
— są nam szczęściem i nadzieją...
Tak nam *trzynaście-czternaste*,
że nie dziwcie *jedenaste*,
iż poświęcam im szaradę,
myśl w niezgrabne rymy kładę.
Dwanaście, choć wszyscy są tym
co jest na *siedem-dziesiątym*
bardzo mocno przerażeni,
— ja wierzę, że świat się zmieni!

Przeminą zgrzyty i burze,
kłopoty wielkie i duże,
znikną nawet troski małe...

Pamiętajcie, że jest *całe*!

Spróbuj...

Z KRAINY CYFR

Jak należy użyć pewnej cyfry ośmiokrotnie, by, tylko przy pomocy dodawania, otrzymać sumę 1.000?

HAZARD

Grałem wczoraj z kolegą w „orła i reszkę”. Zacząłem grę mając dwa funty i każdorazowo stawiałem połowę posiadanej w danym momencie sumy (więc za pierwszym razem — funta itd.)

Rzucaliśmy monetę pięć razy, z czego trzy razy zgadłem wynik, a dwa razy — nie.

Przegrałem czy wygrałem? I ile?

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy, dn. 16 lipca br. (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej” (52, Halton House. 20—23. Holborn, London, E.C.1) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ”.

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki; w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

Rozwiązanie powyższych zagadek oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukaże się w 29 numerze „Polski Walczącej”.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NR. 25.

Za prawidłowe rozwiązanie jest uważane każde, zadośćczyniące warunkom zadania. Tak więc „Zagadka polityczno-matematyczna” ma parę prawidłowych rozwiązań.

Zagadka polityczno-matematyczna: 92 plus 970 plus 9774 równa się 10836.

Krzyżówka: Poziome — 1. Irak. 6. Arak. 7. Owca. 8, Wieprz. 11, Alfa. 13. Saar. 14, Wertep. 15. Oran. 16, Amen. 17, Rola. Pionowe — 2, Rywale. 3, Krawat. 4, Grupa. 5, Rzeka. 9, Espoir. 10, Rafael. 11, Padwa. 12, Fried.

Utility watch: Mój zegarek wskazywał prawidłowy czas o godz. 11.57.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrodę w postaci książki:
WŁ. ST. REYMONT: ROK 1794 (3 tomy) otrzymała w drodze losowania p. Teresa M. Poniatowska — 9, Jameson Street. London W.8.

POSZUKIWANIA RODZIN

ROMAN FELEDYK, służący w Polskich Siłach Zbrojnych, urodzony w r. 1915 we wsi Baranów, poczta Skalbierz. woj. Kieleckie — jest proszony o skomunikowanie się z jego krewnymi w Ameryce pisząc na adres: Piotr Gorgoń. 3171 Trowbridge St. Hamtrack 12. Mich. USA.

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST

Adres Redakcji (Editorial Offices):
52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C. 1. Tel. CHAncery 7747
(w poniedziałki i wtorki: Tel. SLOUGH 21230)

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na “FIGHTING POLAND TRUST” pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji: 160 Earls Court Road, London, S. W. 5. Tel. FRObisher 3881.

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU A TEATR

— „Dońciu, pójdziesz na „Śluby Panieńskie”? — zapytali koledzy po przeczytaniu afisza o występach polskiego teatru w Londynie.

— „A ile tych ślubów i w jakim kościele? — zdziwił się Dońciu — i kto z kim, bo przecież Szkotki już za nas nie wychodzą, ba, już nawet nie chodzą z nami, i słusznie: chodzi taka dziewczyna z tobą, chodzi, ale — pytam — dokąd zajdzie? Nawet jak się z nią ożenisz, to tego wspólnego języka nie znajdziecie: ty sobie mleko nastawisz na zsiadłe — a ona je wyleje, bo się „zepsuło”; ty w zimie piecyk elektryczny do sypialni wstawiasz, a ona okno na mróz otwiera, a do łóżka butelkę z gorącą wodą kładzie, bo zdrowiej; nigdy nie zapomnę tego strachu, kiedy mnie znajomi Szkoci pierwszy raz zaprosili na nocleg: kładę się do łóżka i nagle nogą namacałem taką butelkę, nawet sparzyłem się. Myślałem, że bomba, więc cicho wyniosłem i położyłem pod drzwi sypialni państwa domu. Rano mróz w pokoju, ja nie mam odwagi spod kołdry małego palca od stopy wysunąć, a tu przychodzi gospodyni, przynosi *cup of tea* i mówi:

— „*Good morning, nice morning, isn't it?*”

— „*Very nice* — odpowiadam grzecznie — *a little cold*”.

— „*Fresh air* — mówi gospodyni i z zimną krwią otwiera okno — *very healthy!*”

— „No i powiedzcie — ciągnął Dońciu — czy można być zdrowym człowiekiem, jeśli się śpi w lodowni? Ja twierdzę, że Anglicy są rasą wymierającą (tu Dońciu dosiadł swego ulubionego konika) właśnie z powodu tej psiarni w sypialni. No bo popatrzcie, w jakich warunkach rozwija się cała natura: w lecie, kiedy jest ciepło. Całe rozmnażanie w przyrodzie rozpoczyna się wiosną, ze wzrostem temperatury. W zimie natura nie rozmnaża się, tylko śpi.

Człowiek — wykładał dalej Dońciu — po to zbudował sobie mieszkanie, żeby mieć wieczną wiosnę w domu, czy w zimie, czy w lecie. Tymczasem co robią Anglicy? Wpuszczają zimę do sypialni. A jaki skutek? — Że śpią! Tak właśnie jak cała przyroda w zimie”.

Któryś z kolegów zauważył, że pozostaje jednak Anglikom cała cieplejsza połowa roku, żeby utrzymać przy życiu swą wymierającą rasę, ale na to Dońciu miał już swe dawniejsze argumenty: jedzenie z puszek, sposób gotowania jarzyn, zatruwanie się herbatą.

Tymczasem jednak kwestia „Ślubów Panieńskich” pozostawała otwarta: Dońciu upewniwszy się, że w programie nie ma g e r l s ó w, zdecydował iść raczej na najnowszą rewię „*Swing it, Venus!*” mówiąc:

— „Owszem, cenię teatr, ale nie lubię sztuk odgrzewanych. Trzeba iść z duchem czasu!”

Podobnie w dziedzinie literatury szedł Dońciu z duchem czasu. Zawsze mieszał Redutę Osterwy z Redutą Ordona, a zapytany kiedyś z nagła: „Byłeś na „Weselu” Wyspiańskiego?” — odpowiedział:

— „Też pomysł! — Faceta nie znam i na wesele miałem iść!”

RAD

SKRZYNKA POCZTOWA

Kaukaz - to nie Rosja

Szanowny Panie Redaktorze!

W „Polsce Walczącej” z 14 b.m. na pięknie złamanej stronie tytułowej, poświęconej pamięci zmarłego Prezydenta Rzeczypospolitej, w okienku wydrukowanym kursywą, Kaukaz nazwany został ziemią rosyjską.

Oczywista Kaukaz nie jest ziemią rosyjską. Jest ziemią Gruzinów, Ormian, Azerbejdżan i licznych szczepów Górali Północnego Kaukazu. Pośród tych narodów mamy wypróbowanych przyjaciół, których łączy z nami wspólnota ideałów niepodległościowych. Dzisiaj, gdy Polska jest prawie tak samo jak tamte narody ujarzmiona przez Moskwę narody Kaukazu stały się nam jeszcze bliższe.

Przeoczenie zrobione na stronicy tak uroczystej dotknie boleśnie patriotów kaukaskich tak, jak dotknęłoby nas rozciąganie imienia Rosji na Wisłę.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy prawdziwego poważania i serdeczne pozdrowienia

TADEUSZ PEŁCZYŃSKI

Printed for „Polska Walczaca” by Groves, Brodie & Co., Ltd. The Windsor Press, Trading Estate, Slough. Bucks. Registered at the G.P.O. as a Newspaper